

Caroline Cross

Zaufaj mi

Gorący Romans DUO 793

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zgrzyt zasuwki zamykającej drzwi celi zakłócił popołudniową ciszę.

Lilah nerwowo podniosła głowę. Zamarła na moment, po czym usiadła, przesunęła się na skraj maty służącej jej za łóżko i wcisnęła się plecami w betonową ścianę. Drzwi na końcu korytarza otwarły się z hukiem.

W słabym świetle pojawiły się sylwetki dwóch strażników więziennych, między którymi zwisał, podtrzymywany pod pachami, jakiś człowiek. Strażnicy ciągnęli go w jej kierunku, a Lilah podziwiała opalone, muskularne ramiona i twarde bicepsy rysujące się pod wyblakłym oliwkowym podkoszulkiem. Atramentowe włosy błyszcząły w mętym świetle. Z kącika zaciętych ust spływała strużka krwi.

Stękając z niezadowolenia, strażnicy unieśli swój ciężar nieco wyżej. Głowa więźnia przechyliła się na bok i na moment dziewczyna zobaczyła wyraźniej prosty nos i zarys policzka. Wydały jej się znajome, ale zaraz odrzuciła tę myśl. Nie, to niemożliwe. Co miłość jej niefrasobliwej młodości, wzorzec męskości, do którego przyrównywała innych, mężczyzna, który jeszcze teraz czasami pojawiał się w jej snach, robiłby tutaj, w San Timoteo, w odległym zakątku Karaibów, w prywatnym więzieniu El Presidente?

Lilah starała się być dzielna i silna, ale widocznie w końcu przegrała i zaczyna mieć halucynacje. A jednak. ..

Strażnicy rzucili nowego przybysza na betonową podłogę w przyległej celi. Jeden z nich zdołał go jeszcze kopnąć w żebra, po czym wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi celi, a następnie od korytarza.

Dziewczyna aż rwała się do jakiegoś działania, ale okrutne doświadczenia ostatniego miesiąca nauczyły ją ostrożności. Zmusiła się do pozostania na miejscu, póki w oddali nie ucichły kroki prześladowców. Wtedy zwlokła się z maty do metalowych krat i przykłękała między nimi, wpatrując się w twarz więziennego sąsiada. Gdy popatrzyła na proste brwi, serce zabiło jej mocniej. Teraz, z bliska, nie miała już żadnych wątpliwości. Z latami jego barki stały się jeszcze szersze, mięśnie mocniejsze, a na przystojnej twarzy pojawiły się mimiczne zmarszczki, ale to był on. Dominic Devlin Steele.

Zaczęła się zastanawiać, co on, u diabła, tu robi? Czyżby to był czysty przypadek? Niezwykły zbieg okoliczności?

To wydawało się mało prawdopodobne. Jedyne wyjaśnienie było takie, że znalazł się tu specjalnie, a jedyną osobą, która mogłaby za tym stać, była jej babka. Jednak nie była w stanie wyobrazić sobie, jak w swoim świecie Abigail Anson Ciarę Cantrell Traybourne Sommers mogłaby napotkać Dominica Steele'a. I dlaczego on zgodziłby się dać skatować dla niej.

Teraz jednak to wszystko nie miało znaczenia. Po miesiącu strachu i samotności cudownie było zobaczyć znajomą twarz, nawet jego. Zwłaszcza jego. Wyciągnęła rękę przez kraty.

– Dominic? To ja, Lilah. Lilah Cantrell. – Drżącymi palcami dotknęła jego policzka.

Zauważyła, że był ciepły, a delikatny zarost na brodzie drażnił jej dłoni. Dotykanie go stanowiło taką samą przyjemność, jak prawie dziesięć lat temu. Jednak skupiła się głównie na tym, że był podejrzanie nieruchomy.

– Nie mogę uwierzyć, że to ty. Że znalazłeś się akurat tutaj. Najważniejsze, żebyś się obudził. Obudź się i porozmawiaj ze mną, a przynajmniej porusz się. Proszę!

Ani drgnął, a ona zaczęła się zastanawiać, co mogłaby zrobić. Ogarnęła ją panika, kiedy uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia. Zagryzła wargi, żeby się nie rozplakać.

Zawstydziła się swojej słabości. Co z tego, że zobaczywszy kogoś znajomego odczuła wyraźniej, jak demoralizujący był dla niej ostatni miesiąc, kiedy była uwięziona. Nazywała się Cantrell i od dziecka uczono ją, że to zobowiązuje i nie należy poddawać się słabościom. Co z tego, że straciła już nadzieję na zobaczenie domu albo zastanawiała się, czy ktoś odczuje jej brak?

To nie ona leżała poraniona i nieprzytomna na brudnej podłodze i powinna się skupić na tym, jak pomóc Dominicowi. Wyobrażała sobie głos babci: „Na miłość boską, dziecko! Przestań biadolić, tylko spróbuj zachować się jak przystało na osobę z rodziny Cantrell!” To podziałało. Uspokoiła się, ręce przestały jej drżeć i ucisk w gardle zelżał. Postanowiła najpierw przypatrzeć się, w jakich miejscach jest ranny, a potem zastanowić się, co można z tym zrobić.

Leciutko, jak muśnięcie promieni słonecznych, dotykała opuszkami palców jego twarzy i głowy tam, gdzie mogła sięgnąć poprzez kraty. Następnie przyszła kolej na szyję i bliższy jej bok, żebra i ramię. Starła się wyczuć jakieś zgrubienie, grudkę krwi lub cokolwiek podejrzanego. Nic. Jedyne, co zauważyła, to napiętą skórę i stalowe mięśnie, takie jak pamiętała.

– No dalej, Nicky – szepnęła i dawna pieszczotliwa wersja jego imienia sama pojawiła się na jej ustach, gdy dotykała delikatnie jego koszuli. – Nie udawaj. Naprawdę cię potrzebuję. Proszę, proszę, obudź się...

– Rany, Li. Uspokój się.

– Och! – Spojrzała na jego twarz i zobaczyła znajome zielone oczy. – Obudziłeś się!

– Tak. – W dalszym ciągu nie ruszał się, ale wpatrywał się w nią przez kilka długich sekund. Uniósł nieco głowę, lekko potrząsnął i mrugnął. – Mam szczęście.

– Znów zacisnął powieki, jakby nie mógł znieść najmniejszego nawet promyczka światła.

Lilah znów wpadła w popłoch. Może miał wstrząśnienie mózgu albo pęknięcie czaszki? A może – przypomniała sobie uderzenie butem – pęknięte żebra albo śledzionę? A już najgorzej, gdyby, nie wiedząc nawet, miał krwotok wewnętrzny.

– Gdzie cię boli? – spytała ze strachem.

– A gdzie nie boli – mruknął. – Ale – uniósł palec – bywało gorzej i przeżyłem, więc nie rób w majtki ze strachu. – Otworzył oczy, uniósł się na łokciu i położył swą dużą, ciepłą rękę na jej dłoni w miejscu, gdzie dotykała krat. – Zaufaj mi. Nic mi nie jest. Potrzeba mi tylko chwili czasu.

„Zaufaj mi”. Te słowa były jak echo z przeszłości. Ile razy je wypowiadał po tym, gdy namawiał ją na zrobienie czegoś niebezpiecznego i zakazanego. Ile razy patrząc w te oczy

przegrywała walkę z pokusą? Ile razy pod wpływem jego dotyku rozum zamierał, a ciało ożywało, pełne pożądania?

Wystarczająco wiele, żeby go zapamiętać na zawsze.

Puścił nagle jej rękę i przewrócił się na bok. Skrzywił się, dotykając przeciętej wargi. Otarł krew z wierzchu dłoni i jednym zwinnym ruchem stanął na nogi.

Patrzyła na niego jak urzeczona, z trudem zachowując spokój. Obmacywał starannie całe swe świetnie zbudowane ciało, sprawdzając mięśnie przy lekkich podskokach.

– Dobra wiadomość, księżniczko, chyba będę żył.

„Księżniczko”. To pieszczotliwe przydomkowanie, wypowiedziane od niechcienia, było jak uderzenie w twarz. Uświadomiła sobie nagle, że wciąż klęczy u jego stóp, jak jakaś niewolnica w haremie, i zerwała się pospiesznie.

Nie zwracając na nią uwagi, obrócił się i spoglądał wokół siebie, na umieszczone wysoko małe okienko, cieniutkie maty, służące *za* posłania, na okratowane dziury, pełniące rolę toalety Trzeciego Świata.

Gwizdnął bezgłośnie.

– O kurczę, musiałaś naprawdę narazić się niewłaściwej osobie. Nawet więzienia widywałem sympatyczniejsze. – Na sekundę coś błysnęło w jego spojrzeniu, po czym ukazał w uśmiechu białe zęby. – Zaraz. Pomyłka. Przecież to jest więzienie.

Zażartował. On sobie żartował. Ona tu odchodzi od zmysłów ze strachu, że może być śmiertelnie ranny, a on robi sobie dowcipy z otoczenia. Zesztywniała. Poczula się upokorzona, ale zwyciężyło oburzenie i resztki ambicji, które nie pozwoliły jej na pokazanie, że potrafi ją dotknąć.

– Nie znalazłeś się tutaj przez przypadek, prawda? – spytała, przypominając sobie jego pierwsze słowa do niej i zupełny brak zdumienia, że spotyka ją w samotnej celi więziennej w małym kraiku na wyspie, miliony kilometrów od domu. – Prawdę mówiąc – ciągnęła, wpatrując się w ciemniejący siniec na jego policzku i rozciętą wargę, z której wciąż sączyła się krew – specjalnie zrobiłeś coś, żeby cię wsadzili właśnie tutaj, bo wiedziałeś, że ja tu jestem.

Cisza. Po chwili rozcięte wargi rozchylły się.

– Punkt dla bogatej dziewczynki.

Przez moment miała ochotę go uderzyć. Wprawdzie nie miała szans dosięgnąć go, ale zawsze... Przerazona własną reakcją schwyciła się mocniej prętów oddzielających ich cele i znów sobie przypomniała, że nazywa się Cantrell i nie może tracić zimnej krwi. Zwłaszcza teraz, kiedy tyle chciała się dowiedzieć.

– Jak mnie znalazłeś? Skąd w ogóle wiedziałeś, że tu jestem? Czy moja babcia cię przysłała? Dlaczego narażałeś się na takie ryzyko?

Logika jej podpowiadała, że nie mógł to być zbieg okoliczności, ale wciąż nic nie rozumiała. Pomijając wręcz nieprawdopodobną sytuację, w której on i jej babka mogliby się spotkać, minęło dziesięć lat od czasu, gdy Lilah powiedziała mu, żeby sobie poszedł, a on spojrział na nią z taką samą nonszalancją, jak teraz. Dziesięć lat, odkąd złamał jej serce, kiedy wzruszając ramionami powiedział, że to „jej strata” i odszedł z jej życia na zawsze.

Jeszcze teraz było to bolesne wspomnienie. Przeszłość wydała się taka nieodległa.

– Wyjaśnij mi, co tu robisz. Teraz.

– Coś ci powiem, Li. – Zbliżył się do krat, oparł swe duże dłonie na prętach nad jej rękami i nachylił się, a jego bliskość spowodowała, że poczuła ucisk w żołądku. – Wyświadczyć nam obojgu przysługę, kochanie. Weź głęboki oddech, zamknij te piękne usteczka, a ja ci opowiem wszystko, co wiem.

ROZDZIAŁ DRUGI

Denver, Colorado

Pięć dni wcześniej

– Hej – Dominic zjrzał do gabinetu swego starszego brata w głównej siedzibie Steele Security. – Masz chwilę?

Gabriel, siedzący za biurkiem z granitowym blatem, uniósł głowę, po czym dalej porządkował dokumenty.

– Jasne, wchodź.

Dominic wszedł do gabinetu, który jak większość biur w tej ultranowoczesnej dzielnicy, przerobionych z powierzchni magazynowych, miał całą ścianę ze szkła. Jak przystało na styczniowy dzień w Górach Skalistych, przez szklaną ścianę widać było błyszczące morze bieli, dzięki warstwie spadłego nocą śniegu.

– Taggart mówi, że nie bierzemy sprawy.

Taggart był następny w hierarchii wiekowej braci Steele.

– Tak – potwierdził Gabe. – Klientka przychodzi o drugiej. Chcę jej poradzić, żeby skontaktowała się z Allied.

– A dlaczego?

– Nie mamy pracowników.

– Żartujesz.

– Nie. – Gabe zrobił szybko notatkę na przeglądanej kartce i odłożył ją na bok. – Taggart ma nadzieję, że nareszcie natrafił na ślad nieuchwytniej, jak dotąd, pani Bowen. Także Josh będzie zajęty przy procesie Romero w Seattle co najmniej przez dwa tygodnie, a wszyscy inni tkwią po uszy albo w sprawie szpiegostwa przemysłowego w Dallas, albo ubezpieczają szczyt ekonomiczny w Londynie. Więc zostają ja, a chociaż bardzo chętnie bym się zajął wyjazdową robotą, jestem potrzebny tutaj.

Dominic przypatrywał się bratu. Zewnętrznemu obserwatorowi mógłby się wydawać spokojny i nieulegający emocjom, co podkreślał jego strój: wykrochmalona biała koszula, grafitowy garnitur i stosowny krawat. Strój Dorna stanowił dokładne przeciwieństwo – sportowe czarne spodnie i zielona lniana koszula.

Obaj bracia, Gabe i Taggart byli bardzo z sobą związani, a Dom już dawno uznał, że za bardzo poświęcają się pracy, a za mało mają czasu na zwykłe życie. Dom, w przeciwieństwie do nich, dawno uznał, że życie jest zbyt krótkie, aby przejmować się tym, co może się nigdy nie wydarzyć, i nadstawiać karku przy każdej okazji. poza tym, ktoś musiał bronić Steele'a Jeden i Steele'a Dwa przed samozagładą. Sprawa Taggarta wydawała się przegrana, ale co do Gabriela, miał wciąż nadzieję.

Ukochanemu starszemu bratu trzeba było po prostu co jakiś czas przypominać, że świat się nie zawali, jeśli pozwoli sobie na jakąś przyjemność.

– No dobra, wszyscy są zajęci – powiedział Dom, wyciągając długie nogi, gdy siadł na

skórzanym fotelu naprzeciw brata. – A kim jestem ja? Niewidzialnym?

Gabe skrzywił się nad papierami.

– Ty wciąż dochodzisz do siebie. Minęły dopiero dwa miesiące od strzelaniny. Potrzebujesz czasu.

– Nie, dobrze się czuję. Co tam dobrze. Czuję się świetnie. Po fizykoterapii, pracy przy domu i po treningach na bieżni jestem w najlepszej życiowej formie. Na pewno lepszej niż niektórzy kowboje zza biurka.

Gabe zignorował złośliwą aluzję.

– Nie ma mowy. Zapomnij o tym.

Dom uświadomił sobie, że nie jest już nastolatkiem, który dla zasady przeciwstawiał się cztery lata starszemu bratu. Zgoda, starszy brat założył Steele Security, agencję ochrony na najwyższym poziomie, która zajmowała się wszystkim, od ochrony najważniejszych wydarzeń, poprzez usługi detektywistyczne, po poszukiwanie osób zaginionych. Dom, podobnie jak Gabe, Taggart i dwaj inni z dziesięciu braci Steele mieli już swój udział w rozwoju firmy i byli w niej pełnoprawnymi partnerami. Miał więc coś do powiedzenia, czy to się bratu podobało, czy nie.

– Nie wiem, czy chcę zapomnieć.

Gabe powoli odłożył pióro. Uniósł głowę i napotkał wzrok brata.

– Niech zgadnę. Nie odpuścisz tego? Dom uśmiechnął się.

– Nie ma możliwości. Powiedz mi, o co chodzi, i będziemy to mieli z głowy.

Przez dłuższą chwilę Gabe wpatrywał się w niego, w końcu westchnął.

– Do diabła, zawsze byłeś uparciuch. – Sięgnął po teczkę z dokumentami, leżącą po lewej stronie. – Kartkując je, zaczął mówić. – Klientka nazywa się Abigail Sommers. Kiedy otwierałem firmę, robiłem jej jakąś ochronę. Z domu nazywała się Anson, jak Spółka Górnicza Anson, i podczas swego ponad osiemdziesięcioletniego życia samodzielnie powiększyła to, co już było sporą rodzinną fortuną. Przeżyła czterech mężów i dwoje dzieci. Z nagranej informacji wiem, że jej jedyne wnuczę zostało zatrzymane w San Timoteo, państewku na wyspie...

– ... na południowych Karaibach. Rządzonym przez ostatnie kilkanaście lat przez skorumpowanego eksgenerała, Manola Condestę, który koniecznie chce być nazywany El Presidente. – Dom złożył ręce za głowę.

– Przez ostatnie lata mieszkałem w Londynie, Gabe, nie na księżycu. Jestem na bieżąco, jeśli idzie o republiki bananowe, nie potrzebuję lekcji geografii ani polityki.

– Rozumiem, przepraszam. Dom nie zwracał już na to uwagi.

– Więc o co tego dzieciaka oskarżono?

Brat spojrzął w dokumenty, chociaż Dom był przekonany, że wszystko ma zapisane w swej encyklopedycznej pamięci.

– Udział w zamieszkach, napaść na policjanta, opór przy aresztowaniu.

Pokiwał głową. Znane historie – zepsute bogate dzieciaki jadą do obcego kraju, a potem po alkoholu albo narkotykach rozrabiają, narażając się miejscowym władzom.

– Dziwię się, że nie czytałem o tym w prasie. Uwielbiają takie sprawy.

Gabe skinął głową.

– Masz rację, ale Condesta trzyma żelazną ręką wszelkie informacje wychodzące z San Timoteo. Poza tym, w związku z bardzo złym doświadczeniem z tabloidami dawno temu, Abigail ma fioła na punkcie ochrony swojej prywatności. Każdy, kto dla niej pracuje, w jakimkolwiek charakterze, musi podpisać klauzulę o nieujawnianiu informacji o niej.

– Dobra, z tego, co słyszałem, El Presidente uwalnia ludzi za odpowiednią sumę dolarów. Pani Sommers, z takimi pieniędzmi, ma chyba jakieś kontakty, które mogą pomóc?

– Oficjalnie rząd Stanów Zjednoczonych nie utrzymuje kontaktów z San Timoteo, odkąd ten kraj powiększył listę podejrzanych o terroryzm. Nieoficjalnie zrobili, co mogli. Problem w tym, że Condesta wciąż podwyższa stawkę. Abigail twierdzi, że już dwa razy ustalano sumę, dwa razy zgodziła się zapłacić i dwa razy rozmyślili się na kilka godzin przed umówionym terminem zwolnienia i żądali więcej. W tej chwili żądana cena wynosi milion i nie widać końca roszczeń, a jej wnuczka siedzi już cztery tygodnie.

– Niedobrze – powtórzył Dom. Wprawdzie panna Sommers prawdopodobnie przetrzymywana jest w miejscu, które bardziej przypomina klub dla obcokrajowców niż Alcatraz, ale prawda była taka, że kobiety narażone są na więcej niebezpieczeństw niż mężczyźni. – A więc czego chce nasza klientka? Kolejnych negocjacji? Uwolnienia?

– Nie wiem. Powiedziała w nagranej informacji, że sytuacja jest nie do przyjęcia i coś trzeba zrobić.

– I ma rację, a od teraz ja jestem facetem, który to robi.

– Nie. – Najstarszy Steele zamknął folder, jakby to kończyło sprawę.

– Tak. – Dom tym razem odezwał się poważnym tonem. – Nie potrzebuję niańki, Gabe. Potrzebuję aktywności. Jeżeli mam jeszcze jeden tydzień nic nie robić, tylko siedzieć na tyłku i patrzeć, jak pada śnieg, to może się zdarzyć, że pojedę zaatakować osobiście jakiś kraik w Trzecim Świecie.

– Do cholery, Dom...

– Przestań, duży bracie. Odwaliłeś kawał dobrej roboty, zajmując się nami, kiedy mama umarła, ale jesteśmy teraz dużymi chłopcami i możemy sami o siebie zadbać. A poza tym – zmusił się do ironicznego uśmiechu – nie jesteś dla mnie szefem. Jadę do San Timoteo i koniec. A w takim przypadku – sięgnął po dokumenty i wstał – mam trochę do poczytania, więc zostawiam cię z twoimi papierami. Spotkam się z tobą i panią Sommers w pokoju konferencyjnym za ... – spojrzął na zegarek. – Za godzinę. Nie spóźnij się.

Na sekundę Gabriel niebezpiecznie zmrużył oczy, po czym rozchmurzył twarz i wymruczał dwa słowa, z których pierwsze zaczynało się na „p”, a drugie kończyło na „ę”.

Śmiejąc się, Dom ruszył do drzwi.

Abigail Anson Sommers nie wyglądała na czyjąś kochaną babunię, uznał Dom, patrząc, jak Gabriel wprowadza ją do pokoju konferencyjnego. Wysoka i szczupła, o delikatnych rysach, z gęstymi, białymi włosami i miną monarchini absolutnej.

Obszedł duży, błyszczący stół i podsunął jej krzesło.

– Dziękuję, młody człowieku – odpowiedziała tonem królowej zwracającej się do ludu i usiadła. On i Gabriel usiedli także.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiedział, rozbawiony jej próbą ustawienia go na właściwym miejscu.

Przeszła od razu do rzeczy.

– Pana brat twierdzi, że miał pan coś do czynienia z tym przypadkiem Karolinę Grobane, o którym pisali w gazetach.

– Coś – przyznał zgodnie. Wytrzymał jej wzrok. Mogła próbować coś z niego wydusić, ale nie miał zamiaru dzielić się z nią szczegółami swojej działalności. Nie tylko dlatego, że zdradziłby zaufanie klienta, bo o tym przypadku rozpisywała się prasa, ale głównie dlatego, że nie uważał wzięcia na siebie kuli, przewidzianej dla klienta, za bohaterstwo. Zawalił sprawę, nie zaufał swemu instynktowi, ale miał fart, że przeciwnik kiepsko strzelał. Wciąż zdarzało się, że budził się zły zimnym potem, myśląc o tym, że niewiele brakowało, żeby Caroline została ranna albo zabita.

Biorąc jego milczenie za skromność, pani Sommers odezwała się łaskawiej.

– Gabriel mówił również, że służył pan w jednostkach specjalnych marynarki wojennej i otrzymał liczne medale i odznaczenia.

Tym razem posłał bratu mordercze spojrzenie, nim zwrócił wzrok na klientkę.

– To prawda, proszę pani.

– Zapewnia mnie też, że jeśli ktokolwiek może wyciągnąć moją wnuczkę z tego bagna, to tylko pan.

– Być może.

– Być może? – Zimne niebieskie oczy wpiły się w niego. – A co pan przez to rozumie?

– Tylko to, że mam ogólne rozeznanie w sytuacji pani wnuczki, ale postąpiłbym nieuczciwie, obiecując cokolwiek bez dokładniejszych danych – odpowiedział gładko.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym starsza pani sięgnęła do torby i wyciągnęła dużą szarą kopertę.

– Przewidziałam to – powiedziała szorstko. – Tu jest wszystko. Plan trasy Delilah. Lista ludzi, z którymi się spotkała. Transkrypcje moich rozmów z tymi ohydnyimi przedstawicielami Condesty. Zdjęcia i informacje dotyczące więzienia w Santa Marita, w którym ją przetrzymują. No, i oczywiście jej zdjęcie.

– To będzie bardzo pomocne. – Dom wziął od niej kopertę i położył przed sobą. – Po pierwsze jednak ustalmy, co mam, Pani zdaniem, zrobić. Wznowić negocjacje? Zorganizować wymianę?

Na szczęście prychnęła na takie propozycje i natychmiast odpowiedziała:

– Absolutnie nie. Mam prawników do załatwiania takich spraw. Prawników, doradców, zarządców, którym dałam się przekonać, że należy układać się z porywaczami Delilah... – Głos jej zadrzał, ale zaraz się opanowała i jeszcze bardziej wyprostowała. – Mogę być stara, panie Steele, ale nie jestem głupia, a w każdym razie nieczęsto, i mam wstręt do wyłudzenia. Chcę, żeby pan pojechał do San Timoteo i przywiózł moją wnuczkę do domu, gdzie jest jej miejsce.

Musiał się powstrzymać, żeby nie zakrzyknąć radośnie.

– W porządku, ale musimy przedyskutować jeszcze inne sprawy.

Wygięła usta niecierpliwie.

– Jeżeli chodzi panu o wynagrodzenie...

– Nie, proszę pani – zapewnił. – Nie mam żadnych wątpliwości, co do tego. Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o pani wnuczce. Czy jest typem przywódcy, czy naśladowcy? Czy jest spokojna, czy bardzo nerwowa? Szybko podejmuje decyzje, czy musi dokładnie przemyśleć?

– Dlaczego musi pan to wszystko wiedzieć? – spytała. Postukał palcami w stół.

– Będzie mi łatwiej, kiedy będę wiedział, czego się spodziewać. Czy możliwe jest, że zacznie krzyżeć, czy zemdleje, jak mnie zobaczy? Czy będzie uważała za stosowne komentować każde moje posunięcie, czy będzie robiła, co jej każę? Czy zacznie histeryzować, kiedy trzeba będzie uciekać, a ona złamie paznokieć?

Niebieskie oczy Abigail rozbłysły.

– Może pan liczyć na to, że Delilah zachowa się rozsądnie. Nie wychowywałam jej na histeryczkę. Zapewniam pana, że jest odpowiedzialną, rozsądną kobietą, która rozumie, że czasami obowiązek lub okoliczności każą nam powstrzymać emocje i postąpić, jak należy.

– No dobrze – powiedział łagodnie. – Skoro jest takim wzorem cnót, to dlaczego stała się przymusowym gościem Condesty?

– Nigdy nie twierdziłam, że moja wnuczka jest doskonałością – powiedziała sztywno, unosząc głowę jeszcze bardziej. – Przy wszystkich swoich niewątpliwych zaletach, przy szczególnych okazjach Delilah potrafi być niewyobrażalnie uparta. Ten wyjazd stanowi doskonały przykład. Mógł to zrobić któryś z pracowników, którym za to płacimy, ale ona musiała osobiście jechać do San Timoteo, żeby wizytować szkołę, która zwróciła się o dofinansowanie do Fundacji Anson. Założył ją jeszcze mój ojciec. O ile wiem, kiedy załatwiła sprawę, chciała wziąć udział w jakiejś lokalnej uroczystości. Sprawa wymknęła się spod kontroli, sprowadzono policję, a kiedy zagrożono aresztem młodzieńcowi, z którym była – starsza pani zacisnęła usta – Delilah się temu przeciwstawiła.

Dominic skinął głową. Wnuczka mogła być nieco starsza, niż się spodziewał i trochę mniej zwariowana, ale reszta była zgodna z jego przewidywaniami – klasyczny przykład złego zachowania bogatej osoby.

– Jak, pani zdaniem, ona się trzyma?

– Jestem pewna, że sobie radzi. W jej żyłach płynie krew Ansonów – odpowiedziała chłodno starsza pani, jakby to tłumaczyło wszystko.

Może tak było, pocieszył się. W takim przypadku mógł liczyć na to, że jej wnuczka nie padnie na jego widok jak cieplarniany kwiat. Nie będzie miała pretensji do jego metod, ani o to, że nie dostarczył jej szampana i kawioru.

Zresztą i tak miał zamiar ją uratować; nawet gdyby pani Sommers wyznała, że jej wnuczka ma wdzięk skunksa karmionego sterydami, pojechałby do San Timoteo, aby uwolnić El Presidente od niechcianego gościa. Wiedział jednak, że zaplanowanie i bezpieczeństwo całej operacji zależy od informacji, jakie uda mu się zdobyć.

– Zgoda. Zrobię to.

– Wspaniale! – Starsza pani nagle odmłodziła i po raz pierwszy zobaczył pod niezłomną

powłoką praw dziwę zatroskanie. – Kiedy może pan wyjechać?

– W ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin Muszę to przejrzeć – poklepał kopertę – wykonać kilka telefonów i zgłoszę się do pani jeszcze dzisiaj z pytania mi, które mi się nasuną. Podam wtedy dokładniejszy harmonogram.

– Wspaniale – powtórzyła. Wzięła torebkę i wstała. Uścisnęli sobie ręce i Gabe podał klientce ramię, że by ją wyprowadzić z pokoju, a Dom sięgnął do koperty z której wypadły papiery. Na wierzchu przypięte spinaczem leżało kolorowe zdjęcie. Ten widok nim wstrząsnął.

– To jest pani wnuczka? Lilah Cantrell?

Pani Sommers odwróciła się z wdziękiem, mimo swego wieku.

– Tak, Delilah. Jej ojciec był owocem związku z moim drugim mężem, Jamesem.

Starał się zachować zimną krew. Po chwili wytłumaczył sobie, dlaczego nie skojarzył faktów. Kiedy znał Lilah, jej babka nie nazywała się Pani Sommers, ani Cantrelli, a rodzinną rezydencję nazywano, zaraz... zaraz., majątek Trayburne.

Poczuł na sobie wzrok Gabriela jak dotyk.

– Chodźmy, Abigail – powiedział brat natychmiast. – Musisz jeszcze podpisać jakieś dokumenty, które są u Margaret na biurku.

Gdy tylko znaleźli się za progiem, Dom zaczął studiować zdjęcie. Blondynka o pięknych rysach, z błękitnymi oczami i kuszącymi ustami, o spojrzeniu jednocześnie pełnym rezerwy i wyzywającym.

Do diabła! Delilah Sommers to była Lilah Cantrell. A mimo zapewnień babci, że tak nie jest, była skupioną na sobie królową towarzystwa. Wiedział to z własnego doświadczenia.

Ponieważ Lilah Cantrell była pierwszą – i jedyną – kobietą, w której się naprawdę zakochał. Jedyną kobietą, której reakcji nie potrafił przewidzieć. Jedyną, która mu pokazała drzwi wcześniej, niż był pewien, czy chce odejść. I ostatnią kobietą na świecie, której by z własnej woli chciał poszukiwać.

Wypowiedział pierwszą część przekleństwa, którego wcześniej użył Gabe.

– Coś się stało?

Uniósł nagle głowę, zaskoczony, że starszy brat stoi w drzwiach i przygląda mu się.

– Nie.

Nie stało się, powiedział sobie stanowczo, zbierając kopertę. Postanowił zachować się jak profesjonalista. Przeszłość niech pozostanie przeszłością. W końcu tamtego lata byli prawie dziećmi. Wiedział od początku, że nie mają przed sobą przyszłości. Jeśli w następnych latach myślał o niej z żalem, to dlatego, że seks był rewelacyjny. Do diabła, chyba najlepszy w życiu...

– Jesteś pewien, że nic ci nie jest?

Powrócił do rzeczywistości i na jego ustach pojawił się uśmiech.

– Oczywiście, że nie. Zostawiam tu lodowatą pogodę, jadę tam, gdzie mogę popracować nad opalenizną, przy okazji powstrzymać niegrzecznych chłopców i jeszcze nam za to zapłacą. Zaufaj mi, bracie, poradzę sobie.

ROZDZIAŁ TRZECI

– Więc z tego żyjesz? – Lilah uniosła brwi, o ton ciemniejsze od jasnych włosów. – Ty i twoi bracia jesteście najemnikami?

Najwidoczniej nie udało mu się wyjaśnić wszystkiego tak, jak zamierzał. Podobnie zresztą, jak jego aktualna misja okazuje się trudniejsza, niż się spodziewał. Nie oznacza to jednak, że ma spokojnie przyjmować jej oskarżenia.

– Nie – odpowiedział beznamiętnie. – Najemnik oznacza kogoś bez standardów, bez etyki, bez wartości, bez reguł. A my właśnie tego przestrzegamy. Nie łamiemy amerykańskiego prawa, nie pracujemy dla nikogo, kto nie działa stuprocentowo legalnie. Wierz mi. Możemy sobie pozwolić na to, żeby wybierać.

Nie dodał już, że każdy z braci miał za sobą służbę dla ojczyzny w jednostkach specjalnych. W Iraku, Afganistanie i jeszcze ciemniejszych zakątkach świata.

Trzeba przyznać, że Lilah chyba zrozumiała. Na moment przygryzła dolną wargę, po czym opanowała się, wyprostowała i spojrzała mu prosto w oczy.

– Przepraszam. Nie chciałam sugerować czegoś... negatywnego. Albo że nie jestem zadowolona, że tu jesteś. Po prostu to wszystko jest takie... niespodziewane.

Z tym musiał się zgodzić.

– Nie przejmuj się tym.

On w każdym razie nie miał zamiaru. Wyglądało na to, że jednak wszystko szło po jego myśli, mimo że w pewnym momencie obawiał się, że będzie to ucieczka z piekła. Najpierw przełożono jego lot do San Timoteo, później znikł jego miejscowy kontakt. Dlatego minęło około trzydziestu frustrujących godzin, zanim odkrył, że: a) Lilah nie znajdowała się tam, gdzie według jego informacji powinna, b) kiedy udało mu się ją zlokalizować w Las Rocas, odosobnionym i silnie strzeżonym miejscu, położonym o jakieś sto słabo zaludnionych kilometrów od stolicy Santa Marita, najlepszym sposobem na jej uwolnienie będzie zostać więźniem, c) najlepszy sposób na osiągnięcie tego, to dać sobie skopać tyłek.

Jeszcze bardziej skomplikował sprawę fakt, że celnicy San Timoteo skonfiskowali mu jego satelitarny telefon. Ostatnia informacja, jaką otrzymał, to ostrzeżenie o silnym sztormie pod koniec tygodnia. Co więcej, w związku z niespodziewanym opóźnieniem spowodowanym wyprawą tutaj, na południowy cypel wyspy, transport, jaki zarezerwował dla siebie i Lilah, żeby uciec z wyspy, był już nieaktualny. Teraz musiał więc improwizować i tę część planu.

Na szczęście lubił improwizację i był w tym dobry. Na tyle dobry, że jedyny problem, jaki mógł zaistnieć, stał przed nim. Cholera, zapomniał już jak piękna jest Lilah. Wyglądała jak Kopciuszek w wersji Disneya, ze złotymi włosami i niebieskim oczami, i cerą, jaką się spotyka tylko w reklamach kremów. Niestety, w każdym razie dla niego, emanowała seksem. Była taka już w wieku lat osiemnastu i następne lata, jeśli mógł oceniać po tym, jak go świerzbią palce, nie ostudziły tego ognia.

Oczywiście tego ognia nie było widać. Lilah była damą, która kojarzyła się z garden party

czy premierą w operze, a nie zapasami w błocie i lokalem ze striptizem. I to stanowiło część jego problemu. Być może był perwersyjny, ale kiedy miał dwadzieścia lat, właśnie ten wygląd „patrz, ale nie dotykaj” bardzo go podniecał. Zawsze lubił wyzwania i ta aura „nieosiągalnej”

I była dla niego jak płachta na byka. Wystarczyło jedno jej spojrzenie.

Oczywiście, wtedy to było wtedy, a teraz jest teraz. On ma trzydzieści lat, jest mężczyzną, nie chłopakiem. Wtedy, wiele lat temu, ona go nie spaliła, ona go przypiekła na różnie. Nie miał zamiaru powtarzać tego doświadczenia. Więc jak wytłumaczyć to pożądanie, skręcające wnętrności, ściągające skórę, które odczuł, gdy tylko dotknęła jego ręki?

– Chcę się tylko upewnić, czy dobrze rozumiem – litościwie przerwała jego rozmyślenia.

Więc jest nas dwoje, kochanie. Ja chciałbym zrozumieć, jak mogę wymyślać najróżniejsze sposoby uprawiania seksu z tobą, skoro cię nie widziałem dziesięć lat.

– Babcia przyszła do twojego biura i wynajęła cię, ż« byś mnie uratował?

– Zgadza się.

– A twój brat pracował dla niej w przeszłości. Dlatego do niego przyszła i dlatego ty tutaj przyjechałeś?

– Mniej więcej.

– A po tym, kiedy my... znaleźliśmy się, wyjechała z Denver i wstąpiła do marynarki?

– Tak. A teraz, jeśli pozwolisz, ja będę zadawał pytania* bo mamy niewiele czasu, nim słońce zajdzie i strażnic przyniosą kolację. – Będzie rozmyślał o swym dokuczliwym libido później. Powiedzmy, po powrocie do Denve, Nad szklanicą zimnego piwa w ulubionej tawernie. W roku 2025. Na razie pora zabrać się do roboty.

– Skąd to wiesz? – spytała.

– Co wiem?

– No, o kolacji?

Upomniał się, żeby być cierpliwy, bo to zrozumiał, że ona ma pytania.

– Ponieważ spędziłem wczorajszy dzień na obserwacji tego miejsca. Jakieś sto pięćdziesiąt metrów od wejścia znajduje się wielkie drzewo. Jest na tyle wysoki, że widziałem, jak wynoszą jedzenie z kuchni. Musisz mi tylko powiedzieć, czy wracają wieczorem po talerz czy zabierają je dopiero rano?

– Dotychczas czekali zawsze do rana.

– Dobrze. Czy widzisz kogoś w międzyczasie? Czy sprawdzają nocą, albo robią obchód przed zmianą strażników?

– Nie, a dlaczego?

– Dlatego. – Pomacał rozcięcie w szwie spodni, poniżej biodra. – Wobec tego od momentu, gdy przyniosą jedzenie, staniemy się praktycznie niewidzialni aż do świtu. I planuję, że do tego czasu dawno nas tu nie będzie.

W jej oczach pojawiło się niedowierzanie, cień tęsknoty? Była jednak zbyt dobrze wychowana, aby okazywać swoje uczucia na dłużej niż moment.

– No, to byłoby miłe, ale poza zdematerializowaniem się albo przeniknięciem przez kraty – oznajmiła chłodnym nagle tonem – nie wyobrażam sobie, jak chciałbyś to zrealizować. A

nawet gdyby się udało, musiałbyś odblokować drzwi od korytarza i przejść następnie obok strażników, czego chcesz uniknąć. Jakoś sobie tego nie wyobrażam.

Wyciągnął z ukrycia sięgające uda ostrze, wąskie i cienkie jak żyłotka.

– Ja też nie. Dlatego nie wyjdziemy tą drogą.

– Nie? – Jej usta aż rozwarły się ze zdumienia.

I znów, nagle, ogarnęło go uczucie „chcę dotknąć”. Ponieważ ona miała niezwykle ponętne usta.

– Nie – odpowiedział zdecydowanie, zmuszając się do koncentracji na otoczeniu i ponownym sprawdzaniu, czy czegoś nie przeoczył, chociaż plan otoczenia miał już dokładnie zakodowany w głowie. Blok z celami zbudowano na samym południowym skrawku cypli San Timoteo, a w budynku mieściła się również rezydencja komendanta i skromne koszary. Samo wiezie nie miało kształt prostokąta. Na szczycie krótszej, zachodniej ściany znajdowały się pancerne żelazne drzwi które otwierały się z domku straży i prowadziły do wąskiego korytarza z małym, wąskim okienkiem. Wzdłuż korytarza, szerokiego na jakieś półtora metra i długie go na trzystaście, mieściły się cztery małe cele, z jedną wspólną tylną ścianą. Ich wspólną cechą był brak choć by najbardziej podstawowych wygód.

Dominic uznał, że te warunki są w stanie uspokoić nawet jego wybujałe libido. Spojrzał na Lilah, która cofnęła się od krat i stała teraz w jedynym wąskim promieniu słońca, jaki tu docierał. Na jej prawym nadgarstku widniały sińce, na drugiej ręce zadrapanie prowadziło od ramienia do łokcia, a na szczęce fioletowy siniec przybierał już żółtawy odcień.

Zrobiło mu się zimno. Miał ochotę cofnąć czas i na prawdę przyłożyć tym pieprzonym strażnikom, zamiast tych delikatnych ciosów, na które sobie pozwolił, żeby się tu znaleźć. Starał się opanować gniew.

– Lilah.

Jego głos mógł zabrzmieć normalnie, ale coś, może w skrzywieniu jego ust sprawiło, że znieruchomiała.

– Co?

– Czy zrobili ci krzywdę? – spytał łagodnie.

– Krzywdę? – Schwyciła się za nadgarstek, bo domyśliła się, skąd to pytanie.

– Czy cię zgwałcili?

– Nie – pokręciła przecząco głową. – Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że El Presidente dał takie rozkazy, że jestem nietykalna w tym zakresie.

– Tak? A niby dlaczego by to zrobił?

– Nie wiem. Może dlatego, że chce tylko moich pieniędzy.

– Więc od czego są te sińce? – nalegał.

– Ten – wskazała powyżej dłoni i lekko wzruszyła ramionami – to jeden ze strażników trochę się zapędził. A reszta – delikatny rumieniec wykwitł na jej policzkach – to od czasu, gdy mnie zatrzymano w Santa Marita. Tam nastąpił wypadek samochodowy. Wypadek to chyba niezbyt dokładne określenie...

– Ale nikt nie próbował cię zgwałcić? – przerwał. Musiał to wiedzieć na pewno.

– Nie.

– To dobrze.

Teraz dopiero, może dlatego, że dostał w głowę mocniej niż sądził, zauważył, że była już nie szczupła, ale wychudzona, jak ktoś, kto przez dłuższy czas był źle odżywiany. To odkrycie nie poprawiło jego nastroju. Chciał ją wydostać stąd natychmiast. Nawet bardziej niż zemścić się na strażnikach, czego bardzo chciał.

Gwałtowność własnych uczuć zaskoczyła go niezwykle, ale pomyśli o tym później, przy tym piwie, które planował wypić po powrocie do domu. Bez pewnej niebieskookiej blondynki o atlasowej skórze, przy której marzył o robieniu rzeczy, jakich nie powinien.

– Jeżeli nie uciekamy przez drzwi, to jak planujesz nas stąd wydostać? – spytała Lilah.

– Czy jeżeli ci powiem, skończysz tę zabawę w dwadzieścia pytań?

– Tak, oczywiście. Ja...

– Umowa stoi – przerwał. – Odpowiadając na twoje pytanie: wydostaniemy się przez dziurę, którą mam zamiar wyciąć w ścianie.

Zdumiona Lilah przypatrywała się Dominicowi, który odwrócił się od niej i podszedł do betonowej ściany, tworzącej zakończenie bloku z celami. Zaczął ją obmacywać rękami, jak niewidomy dotyka twarzy ukochanej osoby.

W głowie dziewczyny kłębiły się pytania i wykrzykniki, z których najczęstsze to „jak to możliwe?” i „chyba zwariowałaś!”. Jednak panujące milczenie i odwrócone plecy oznaczały wyraźnie, że on nie chce rozmawiać. Ona też nie, pomyślała, układając się na posłaniu. Potrzebowała czasu na przemyślenie różnych spraw i sprzecznych emocji.

Jednak ledwo się ułożyła, ciszę przerwał dźwięk zasuw od zewnętrznych drzwi. Zerknęła na Dominica. W momencie, który był potrzebny na uchylenie drzwi, lokator sąsiedniej celi zwinął się pod ścianą w kupkę nieszczęścia, z przechyloną na bok głową i przymkniętymi oczami. Gdyby nie znała prawdy, gotowa była pomyśleć, że ma przed sobą ciężko pobitego człowieka, który resztkami sił próbuje utrzymać świadomość. Strażnik dał się nabrać. Zerknął na dużego Amerykanina z niesmakiem i powiedział coś pogardliwego po hiszpańsku w wersji San Timoteo, kierując się do celi Lilah. Ku jej zdumieniu, Dom odpowiedział, przekonująco bełkotliwym głosem.

Strażnik się roześmiał. Był to obrzydliwy dźwięk, tak samo jak spojrzenie na Lilah, kiedy się schylił, żeby przez szparę pod kratami wsunąć mięsistymi łapskami małą blaszaną miskę z jedzeniem. Wstał, znów coś powiedział, cmoknął w jej stronę i wyszedł. Gdy tylko przebrzmiał dźwięk zasuwanej sztaby, Dominic się wyprostował.

– Gnój – powiedział cicho, ale dobitnie. Ogarnęła ją ciekawość.

– Co powiedział?

– Nic, co powinnaś usłyszeć.

Zacisnęła usta. Nie była to odpowiedź, o jaką jej chodziło, ale przynajmniej znów się do niej odzywał.

– Nie wiedziałam, że mówisz po hiszpańsku.

– Nauczyłem się jako komandos morski. – Wzruszył umięśnionymi ramionami. – Okazało się, że mam zdolności językowe.

– Aha.

Zerknął na jej talerz.

– Powinnaś zjeść.

Spojrzała na skąpą porcję fasoli i cienki placek. Jedzenie miało nieapetyczny szary kolor i wiedziała z doświadczenia, że smakuje jeszcze gorzej, niż wygląda. Ale i tak na widok jedzenia żołądek jej się ścisnął i ślinka napłynęła do ust.

Tylko jak mogła jeść, jeśli on nic nie dostał?

– Podzielimy się – zaproponowała.

– Nie – odpowiedź była natychmiastowa. – Ty potrzebujesz tego znacznie bardziej niż ja.

Nie miała zamiaru się kłócić, więc wstała, sięgnęła po drewnianą łyżkę, niespiesznie zjadła dokładnie połowę, po czym pod kratami przesunęła talerz w jego stronę. Bez słowa wróciła na swoje posłanie.

Zaklął, aż się skrzywiła, sięgnął po talerz i zaczął jeść.

– Naprawdę uważasz, że uda ci się przebić przez tę betonową ścianę takim wątym narzędziem? – spytała, gdy wycierał ostatnie resztki fasoli kawałeczkiem placka. – A co ze strażnikami? Czy ktoś na zewnątrz nie zauważy, co się dzieje?

– Te ściany nie są betonowe. Są zrobione z bloków betonowych – poprawił, wstając. – Są połączone miejscową zaprawą murarską, składającą się ze słomy i błota i do tego właśnie mam zamiar się dobrać. Natomiast mój cieniutki pręt zrobiony jest ze stopu tytanu na miarę ery kosmicznej i jest dziesięć razy mocniejszy od stali tradycyjnej. Nikt nie zobaczy, co się dzieje, bo ta ściana zbudowana jest na skraju urwiska. No więc myślę, że mój plan się powiedzie.

Odszedł i rzucił talerzem w drzwi z taką wściekłością, że ją zdumiał. Jednak, kiedy się obrócił w jej stronę, był już znowu spokojny. Odezwał się do niej tonem bardzo pewnym, czego ogromnie potrzebowała.

– Okaż mi trochę zaufania, dobrze? Nie dałem się tutaj wrzucić w nadziei, że przyjdzie mi coś do głowy. Wiem, co robię.

– Oczywiście – odpowiedziała słabo.

Może wyglądał jak chłopak, którego znała, ale był z pewnością dorosły, a co więcej, miał rację.

– A teraz, skoro nasi gospodarze nie mają zamiaru już nas odwiedzić, mimo mojego złego zachowania – wyciągnął przecinak z kryjówki – mogę się zabrać do roboty. Może spróbujesz odpocząć? Przyda ci się to na później.

Znów została odsunięta, ale tym razem nie obraziła się, tylko zrobiła, jak jej kazał i położyła się. Skuliła się na boku, podłożyła rękę pod policzek i opuściła powieki, udając, że nie patrzy, jak on rozpoczyna atakować ścianę za pomocą tego swojego narzędzia, żeby wyciąć dziurę wzdłuż spojenia.

Nie mogła oderwać od niego wzroku. Nie tylko dlatego, że fascynował ją widok jego pleców i ramion, gdy przy każdym ruchu widziała grę mięśni. Również dlatego, że dopiero teraz uświadomiła sobie, jak nieprawdziwy jego obraz zapamiętała. Miała przed sobą dowód.

Zapomniała o jego energii i o tym, że w jego obecności świat wydaje się wyraźniejszy, jaśniejszy i z pewnością ciekawszy.

Tak było od pierwszej chwili, gdy go ujrzała, przypomniawszy sobie...

Znów był gorący, leniwy dzień czerwcowy. Leżała na szezlongu nad basenem w Cedar Hill, rezydencji w Denver, należącej do najnowszego męża jej babki. Z daleka dochodził ją warkot kosiarki do trawy. Nie wiedzieć czemu, serce jej zabiło i uniosła lekko głowę, żeby spojrzeć przez olbrzymi trawnik. Zobaczyła wysokiego, opalonego młodego człowieka, który kosił trawę.

Widziała go już tydzień wcześniej. Przeprowadziła drobne śledztwo i dowiedziała się od innego pracownika, że był tu tylko na zastępstwie, podczas wakacji. Czowała na sobie jego bezczelny wzrok, więc sama nie wiedziała, dlaczego znowu sterczy przy basenie, wystawiając się na jego spojrzenia. Zatrzymał się nagle, wyłączył kosiarkę i zbliżał się w jej kierunku. Jego długie nogi szybko pokonywały dzielący ich dystans.

– Hej – usłyszała nad sobą.

Serce jej biło szybko, ale starała się odezwać najbardziej wytwornym tonem.

– Czym mogę służyć?

Uśmiechnął się tak, że jej żołądek fiknął koziołka.

– Czy mogę prosić o szklankę wody?

Po jego karku spływały kropelki potu, znikając pod czarną, wilgotną koszulką, która ciasno opinała jego szeroką pierś. Zawstydzona, zsunęła z nosa okulary przeciwsłoneczne, odwracając głowę.

– Słucham?

– Chce mi się pić. Pomyślałem, że skoro nie masz nic specjalnego do roboty, nie miałabyś nic przeciwko temu, żeby przynieść mi coś do picia?

– Miałabym.

Znów wzięła do ręki książkę i powróciła do dawnej pozycji. Sądziła, że on się obrazi i odejdzie. Nie zrobił tego. Oparł się ręką o płot i przechylił.

– Daj spokój. Nie uważasz chyba, że jesteś za dobra, żeby się zadawać z płatnym pracownikiem?

Zrobiło jej się nieprzyjemnie, że mógł coś takiego pomyśleć.

– Oczywiście, że nie. Uniósł jedną czarną brew.

– Więc w czym problem?

Ich spojrzenia się spotkały. Spodziewała się, że skoro ma prawie czarne włosy i oliwkową cerę, będzie miał czarne oczy. Tymczasem okazało się, że są zachwycająco zielone, usta twarde, a jednocześnie wydawały się takie delikatne...

Zerwała się na równe nogi, zaskoczona własnymi myślami. Odrzuciła na plecy warkocz i pomaszerowała do ogrodowego barku, wzięła szklankę i nalała lodowatej wody. Ręce jej drżały. Podeszła z powrotem do płotu i wręczyła mu szklankę.

– Proszę.

Odebrał ją z leniwym wdziękiem, specjalnie dotykając jej palców swoimi spracowanymi rękami. Uniósł szklankę, odchylił głowę i wypił wodę szybkimi łykami. Nie mogła oderwać od niego wzroku.

– Dziękuję. – Oddał szklankę.

– Proszę bardzo. A teraz proszę odejść. Zachowywał się, jakby jej w ogóle nie słyszał.
– Nazywam się Dominic Steele. A ty?
– Nie widzę powodu, żebyś to musiał wiedzieć – odparła chłodno.
– I tu się mylisz. Przecież – jego spojrzenie przesunęło się z jej oczu na usta, zatrzymało się, po czym z powrotem wróciło – jak mogę cię gdzieś zaprosić, jeśli nie znam twojego imienia?

Gdyby miała odrobinę rozsądku, odeszłaby. Tymczasem stała jak wmurowana. Oddzielała ich cisza. W końcu powiedziała:

– Jestem Lilah... Cantrell.

– Lilah – powtórzył. – Doskonale. Śliczne imię dla ślicznej dziewczyny. – Wokół jego oczu pojawiły się drobniutkie zmarszczki uśmiechu, a jej ugięły się nogi w kolanach. – Lilah, umów się ze mną. Proszę.

Wiedziała, że powinna odmówić. Wyobrażała sobie reakcję babci na wieść o tym, że spotyka się z kimś pielęgnującym ich trawniki. Ale babcia wyjechała na resztę lata w podróż poślubną. Nie licząc służby, Lilah była w domu sama. Tygodnie, jakie pozostały do rozpoczęcia drugiego roku studiów w Stanford, ciągnęły się niemilosiernie.

Z drugiej strony, nie była entuzjastką randek. Przedstawiciele przeciwnej płci wydawali jej się zawsze albo chamscy, albo nudni, albo jedno i drugie. Dominic Steele był inny. W ciągu pięciu minut zdołał postawić na głowie jej uporządkowany świat. Jednocześnie ją zdumiewał, złościł, intrygował i czarował. Dlatego resztki jej zdrowego rozsądku podpowiadały, że powinna powiedzieć „nie”.

No dalej, szeptał w jej głowie jakiś nieznany głos. Nie masz już dosyć robienia zawsze tego, co wypada? Bycia zawsze piątkową uczennicą i grzeczną wnuczką? Nie jesteś już dzieckiem. Niezależnie od tego, co mówi babcia, nie jesteś zupełnie taka jak twoja matka.

– Chyba się mnie nie boisz, co? Natychmiast zeszytywniały jej plecy.

– Daj spokój – powiedziała, leciutko prychnając.

– Więc udowodnij to. – Patrzył wyczekująco.

– No dobrze. – Starła się powiedzieć to od niechcienia, ale obawiała się, że łomot jej serca słyhać na kilometr. – Chyba mogę przełożyć swoje zajęcia.

Na jego twarzy widać było satysfakcję.

– Super. Podjadę po ciebie o ósmej. – Odszedł kawałek, po czym się odwrócił. – Lilah, włóż spodnie.

– Dlaczego?

– Dowiesz się wieczorem.

Pewny siebie jak jakiś książę, oddalił się, a ona natychmiast zaczęła mieć wątpliwości, czy dobrze zrobiła. Nie pozbyła się ich też wtedy, kiedy z rykiem silnika podjechał wieczorem na błyszczącym czarnym motocyklu. Dobrze, że babcia wyjechała, pomyślała, siadając na tylnym siodełku. Nie pozostawało jej nic innego, jak objąć Dominica w pasie, wtulić policzek w zagłębienie między jego łopatkami i ufać, że bezpiecznie ją dowiezie.

Patrząc z perspektywy czasu mogła powiedzieć, że ta jazda była doskonałą przenośnią dla ich związku, który się wtedy zaczął. Był dziki, przerażający, podniecający i porywający.

Dominic zabierał ją w miejsca, w jakich nie była nigdy przedtem.

Po kilku godzinach zaczęła się w nim zakochiwać, po kilku dniach zostali kochankami. A potem...

– Li? Nie śpisz?

Otworzyła oczy, zaskoczona, że w czasie, gdy ona wędrowała ścieżkami wspomnień, zapadła noc. W całym bloku panowała ciemność, poza wąskim jaśniejszym paskiem, oznaczającym zakratowane okienko. Było tylko tyle światła, żeby zauważyła stojącego nad nią Dominica.

– Jak się tu dostałeś?

– Wytrych. W bucie. – Wyciągnął rękę. – Chodź, pora się stąd wynosić do diabła.

Wziął ją za rękę. Wstała niepewnie, oswajając się z myślą, że po tygodniach czekania pora działać. Zanim ochłonęła, przeprowadził ją z jej celi do swojej. Nagle zatrzymał się, a ona poczuła na twarzy słony powiew i zobaczyła, że w pozornie solidnym murze powstała dziura rozmiarów człowieka. Za nią było tylko czarne niebo usiane błyszczącymi, srebrnymi gwiazdami.

– O Boże! – Przypomniała sobie, że mówił coś o urwisku, ale przenigdy nie wyobraziła sobie czegoś takiego.

Zrobiła krok w przód i musiała wyciągnąć szyję, żeby spojrzeć w dół. W dole, tak daleko, że wydawało jej się, jakby to było kilka kilometrów, fale oceanu rozbijały się o pionową skałę.

– Chyba żartujesz. To jest twoja droga ucieczki?

– Tak.

W przeciwieństwie do wody, Dominic znajdował się niepokojąco blisko niej. Czuła na skroniach jego oddech i na jej skórze pojawiła się gęsia skórka.

– To jest co najmniej trzydzieści metrów w dół.

– Raczej piętnaście.

– Jak mamy się dostać na dół?

– Proste. – Znów w jego głosie pojawił się ten leniwy humor. – Skoczmy.

Przez chwilę Lilah nie była pewna, czy się nie przesłyszała, ale zaczęła się obawiać, że może nie.

– Żartujesz, prawda?

– Nieee.

– Przecież to szaleństwo. Jeżeli nie zabije nas sam upadek, to zrobi to fala, która nami plaśnie o skałę. O ile, oczywiście, nie uderzymy przedtem w jakąś skałę pod wodą!

– Nie ma żadnych skał pod wodą – powiedział spokojnie. – Przyływ się kończy, a te fale wydają się znacznie groźniejsze, niż są w rzeczywistości. To bezpieczny skok, woda jest wystarczająco głęboka, sprawdzałem.

Sprawdził. Ta informacja ją uspokoiła, co już było szaleństwem. Jeśli istniał mężczyzna, któremu nie należało ufać, to był właśnie on. Z drugiej strony, nie bardzo miała wybór. Nie chciała nawet myśleć, co się stanie, gdy rano przyjdą strażnicy i zobaczą dzieło Dominica.

– Posłuchaj – powiedział spokojnie. – Wiem, że zawsze bałaś się wysokości...

– Nie, nie, w porządku. – Przerwała, żeby się uspokoić. – Jak trzeba, to trzeba.

Wysunął się z ciemności na światło księżyca. Nie potrafiła zrozumieć, co oznaczał wyraz jego twarzy.

– To znaczy, że nie muszę cię przywiązywać i kneblować ci ust, żebyś skoczyła?

Zadrżała, wyobrażając sobie taki widok.

– Nie – odpowiedziała prędko.

– Szkoda. – Na jego ustach znów pojawił się ten szelmowski uśmiech. – Więc zrobmy to.

– Teraz? – Cofnęła się odruchowo.

– Tak, teraz.

Zanim zdążyła bardziej się cofnąć, objął ją mocno. Na moment szok, wywołany tą bliskością sprawił, że zapomniała o strachu. A potem zapomniała w ogóle o wszystkim, kiedy uniósł ją z ziemi, zrobił dwa kroki i poszybował w nicość.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nocny wiaterek tańczył wśród palm, otaczających małą pieczarę, a księżyc bawił się w chowanego z flotyllą chmurek. Srebrzyste promienie dawały jednak wystarczająco wiele światła, aby prowadzić Dominica i Lilah brodzących w kierunku pływny i skrawka plaży przed sobą.

– Ostrożnie – powiedział, kiedy kolejna fala załamała się wcześniej i Lilah się potknęła. Wyciągnął rękę, żeby ją podtrzymać.

– W porządku – odpowiedziała natychmiast. Czym innym było znieść jego dotyk, będąc w panicznym strachu, a czym innym teraz, kiedy chciała się poddać swojemu pragnieniu, żeby się o niego oprzeć i przytulić. Weź się w garść. Odsunęła jego rękę. – Jestem po prostu trochę zmęczona.

– No, to normalne po upadku i tym pływaniu, jakie odstawiliśmy.

Normalne? Dla niej, ale nie dla Dominica. Zerknęła na niego spod oka. Poruszał się bez wysiłku po sięgającej ud wodzie, oliwkowa koszulka i spodnie w panterkę obciskały jego umięśnione ciało jak druga skóra. Tryskał energią i wyglądał, jakby przepłynął raptem kilka długości basenu w podgrzewanej wodzie.

Jego uścisk i niezachwiany spokój sprawiły, że przeszła jakoś przez ten przerażający skok, który trwał wieczność, a potem zanurzanie się coraz głębiej i głębiej w czarną wodę, które wydawało się jeszcze dłuższe. To jego uspokajający głos, który powtarzał, że ma oddychać, uratował ją od kompletnego załamania, gdy w końcu wynurzyła się na powierzchnię. Jego obecność dała jej siłę, aby płynąć bez końca wzdłuż załomu skalnego w kierunku niszy, wyłobionej przez fale.

Woda sięgała jej już tylko do kolan i łąd znajdował się zaledwie kilka metrów od niej, a ona zaczęła się trząść i z trudem powstrzymywała płacz.

– Li? – Poczwała, że Dominic staje i obraca się w jej stronę. – Co się dzieje?

Niespodziewana delikatność w jego głosie mało jej nie załamała do końca.

– Nic. Muszę złapać oddech, to wszystko. – Ku swemu przerażeniu usłyszała, że prawie płacze. – Przepraszam. – Drżał jej głos, drżały kolana. – Nie wiem, co mi jest. Nogi mi się uginają, chce mi się śmiać, płakać i tańczyć, wszystko jednocześnie, i... Boże, nawet ci jeszcze nie podziękowałam.

– Nie musisz – odpowiedział. – Wykonuję tylko swoją pracę. A ty masz normalną reakcję po nagłym przyływie adrenaliny.

Adrenalina mogła tłumaczyć jej dziwne odczucia, ale nie wyjaśniała, dlaczego poczuła się tak dotknięta jego odpowiedzią. Może ona nie chciała być dla niego „tylko pracą”? Jednak nie miała pojęcia, czego chciała. W każdym razie zawdzięczała mu wolność, a może i życie. Wyprostowała się i spojrzała mu w oczy.

– Może nie musisz tego usłyszeć, ale ja muszę to powiedzieć – odezwała się uroczyście. – Dziękuję ci, Dominicu. Dziękuję, że tu przyjechałeś i wydostałeś mnie z tego okropnego miejsca.

Ku jej zdziwieniu, zamiast odpowiedzieć „nie ma sprawy” albo coś w tym rodzaju, odwrócił się i zaczął obserwować gaik palmowy.

– Nie dziękuj mi jeszcze. Mamy dużo przed sobą, zanim będziemy naprawdę bezpieczni.

Poczuła się jeszcze bardziej odsunięta. Zignorowała głos rozsądku, żeby zostawić sprawę, podeszła i dotknęła jego ramienia.

– Co?

Po jego skroni spływała kropelka wody, którą miała ochotę zlizać. Uniosła głowę.

– Niezależnie od tego, co myślisz i co się później stanie, zawsze będę wdzięczna za to, co zrobiłeś. Nic tego nie zmieni.

W tym momencie nadeszła długa fala, silniejsza niż poprzednie i usunęła piasek spod ich stóp. Zaskoczona Lilah zachwiała się, a Dominic natychmiast delikatnie oplótł palcami jej ramię. Straciła na moment równowagę i przechyliła się do przodu, a jego ręka dotknęła jej piersi. Zobaczyła, że wpatruje się w jej oczy i usłyszała niemal, jak wstrzymał oddech. Ona poczuła w sobie dzikość, jaką zawsze tylko on był w stanie w niej wyzwolić, od której zniknął cały jej zdrowy rozsądek. W obliczu świadomości, że tej nocy może zginąć, oboje mogą zginąć, wszystkie obawy i zahamowania przestały mieć znaczenie.

Poddała się instynktowi, objęła jego twarz i poczuła jego miękkie, mokre włosy między palcami. Spojrzał na nią i odezwał się ostrzegawczym tonem:

– Lilah...

To też zignorowała. Przesunęła palcami od jego skroni do ust.

– Ciii – szepnęła. Słyszała tylko własne tętno, szumiące w uszach. – Po prostu... pocałuj mnie, Dom.

Przez niekończącą się chwilę nie ruszał się, tylko patrzył na nią nieodgadzionym wzrokiem. A potem, z jakimś nieludzkim jękiem, objął ją jedną ręką za uda, drugą w talii, uniósł i poszukał ustami jej ust.

Dotyk jego warg był niebiański. Zawsze doskonale całował i nic się nie zmieniło. Wiedział dokładnie, jak mocno przycisnąć, pod jakim kątem, kiedy przesunąć wargi i w którym momencie wsunąć język.

Czuła emanujące z niego gorąco, silny uścisk jego rąk i przyłgnęła do niego, jak pnąca winorośl do drabinki. I nagle, równie szybko jak zaczął, tak skończył. Postawił ją na ziemi, odciągnął jej ręce ze swojej szyi i odsunął się.

– Dosyć – powiedział ostro.

Lilah, oszołomiona, zrobiła krok w jego kierunku.

– Co takiego? – Spytała niepewnie. – Co się stało?

– Nie rób tego – ostrzegł, znów się cofając, jakby była zarażona.

Stała tak zaskoczona, jakby ją uderzył w twarz. Patrzył na nią jak na obcą i to w dodatku niezbyt lubianą.

O Boże! Co ona takiego zrobiła? . – Chodź – powiedział bezbarwnym głosem. – Musimy wyjść z tej wody i zejść z plaży. Natychmiast.

Obrócił się i odszedł. Chciała mu zadać tyle pytań, ale właściwie już nie musiała. Dowiedziała się tego, czego chciała. Wprawdzie Dominic wyraźnie nie czuł do niej wstrętu,

jednak nie pragnął jej na tyle, aby zapomnieć i przebaczyć to, co było w ich wspólnej przeszłości.

No cóż, pomyślała, ma do tego prawo. Ona czuła się upokorzona, najchętniej wymazałaby ostatnie dziesięć minut, ale uszanuje jego wolę i będzie się trzymać z daleka. Tyle mogła zrobić. Starając się powstrzymać łzy, ruszyła za nim.

Co, do cholery? Dom patrzył z mieszaniną zdumienia, niedowierzania i obrzydzenia na jeepa, którego ukrył w zaroślach jakieś piętnaście metrów od drogi. Mówiąc ściślej na to, co pozostało z jeepa, a było tego niewiele. Goła metalowa rama odarta była nie tylko z kamuflażu z liści, ale pozbawiona wszystkiego, co miało znaczenie: silnika, chłodnicy, baku i wszystkich czterech opon. Dziwne, że jeszcze fotele zostały.

„Ucieczka z Piekła”, część II, pomyślał z ironią. Czuł się sfrustrowany od chwili, gdy zmuszony był przerwać ten cudowny uścisk i pocałunek z Lilah, bo bał się, że eksploduje. Co on sobie, do diabła, myślał? Jak łatwo będzie zdjąć tę odrobinę ubrania i znaleźć się głęboko w niej? Ekstra, facet. Tak byś chciał się odpłacić za jej bezbłędne zachowanie z tym skokiem, chociaż było widać, że jest śmiertelnie przerażona. Bardzo profesjonalnie, zapomnieć o tym, że jej bezpieczeństwo jest najważniejsze, ważniejsze od ciebie. Poza tym, powiedziała ci od razu, co czuje. Wdzięczność, a nie pożądanie. A ty, jak idiota, zabierasz się do całowania i to w miejscu, gdzie każdy gołym okiem może was zobaczyć, a ktoś stojący z bronią na skale ustrzelić jak kaczki. A zwłaszcza Lilah, z tymi blond włosami.

A teraz to. Wyobrażał sobie, że wystarczy przejść kilkaset metrów, odgrzebać jeepa i odjechać pędem do Santa Marita, gdzie zamierzał ukrąść pierwszą odpowiednią łódź lub samolot, który zabierze ich do jakiegoś przyjaznego portu. To przekonanie dodawało mu siłę, aby trzymać się z dala od delikatnego ciała Lilah, jakby stworzonego dla niego.

Tym razem zaklął głośno i to z taką siłą, że omal się nie skrzyły liście na okolicznych drzewach. Nie było wyjścia, musiał spojrzeć dziewczynie w oczy. Ona na szczęście wpatrywała się w szkielet samochodu.

– Rozumiem, że to miał być nasz środek transportu?

– Zgadłś.

Nie patrząc na niego, przygryzła wargi, wyraźnie zmartwiona. – I co teraz?

– A jak myślisz? – Nawet nie próbował ukryć złości w głosie. Już i tak wykazał, że nie potrafi zająć się tylko swoim zadaniem, więc im bardziej ją rozgniewa, tym lepiej dla nich obojga. Niezależnie od tego, jak bardzo jej pragnie. – Idziemy pieszo.

– Aha. – W dalszym ciągu nawet na niego nie spojrzała.

Sam tego chciał.

– Zostań tutaj – powiedział krótko.

Oderwał od niej wzrok, odwrócił się i ruszył w kierunku otaczających ich palm. Doszedł do najmniejszej, z charakterystycznie wykrzywionym pniem. Nachylił się, pogrzebał w niskich zaroślach opodal i wymacał znany materiał. Z westchnieniem ulgi wyciągnął plecak, przerzucił go przez ramię i wrócił na polankę.

Moment zadowolenia minął natychmiast.

Dobra wiadomość była taka, że Lilah stała tam, gdzie jej polecił. Zła była taka, że

wyciskała słoną wodę z włosów, a przy tej okazji unosiła ręce, naciągając bawełnianą bluzeczkę. Rzeczona bluzka, podobnie jak biustonosz pod nią, były zupełnie mokre, a więc przezroczyście. Rzucił plecak na ziemię, otworzył z rozpędem i wyciągnął zapasowy tiszert.

– Masz, włóż to – powiedział, rzucając w jej stronę. – To białe rzuca się w oczy jak neon reklamowy.

Wykazując się dużym refleksem, schwyciła koszulkę w powietrzu. Wtedy, po raz pierwszy od tamtego momentu na plaży, spojrzała na niego. Opinia, jaką wyczytała o sobie z jej twarzy, nie była pochlebna. Czekał, aż coś powie, ale nie zrobiła tego.

Powoli zaczęła rozpinąć bluzkę, zdjęła ją niespiesznie i włożyła jego koszulkę. Przyglądała włosy. Zebrała koszulkę, sięgając jej do kolan i zawiązała w węzeł na smukłym biodrze. Znowu spojrzała na niego.

– W porządku? – spytała spokojnie, ale odrobinę wyzywającym tonem.

Cholera, jeszcze tego mu było trzeba – prywatnego striptizu. Nie dosyć, że teraz cały czas ma w oczach obraz jej płaskiego brzucha i zaokrąglonych piersi, to jeszcze widzi, że jakimś cudem ona nawet w jego starej czarnej koszulce wygląda świetnie.

– Fantastycznie.

Tylko solidne ćwiczenia fizyczne mogłyby mu pomóc. Coś w rodzaju przepłynięcia Morza Beringa albo podnoszenia ciężarów, na przykład volkswagenów. Tymczasem będzie musiał zadowolić się wędrówką w jej tempie. Założył zegarek, przypiął do pasa nóż i butelkę z wodą, a drugą rzucił Lilah i założył plecak.

– Idź za mną – rzucił krótko. – Jak będziemy na drodze, jeżeli usłyszysz coś niepokojącego, ludzki głos, nadjeżdżający pojazd, szczekanie psa – chowaj się w krzakach i czekaj na mnie, aż cię odnajdę. Zrozumiałaś?

– Tak.

– No, to idziemy. Im większa odległość będzie nas dzieliła od ludzi El Presidente, kiedy się zorientują, że nas nie ma, tym lepiej. – Z tymi słowami ruszył w drogę.

Z powodu gęstych zarośli pokonanie odcinka od resztek jeepa do drogi zabrało im dobre pięć minut. Droga to może zbyt ambitne określenie na wąski piaszczysty trakt, prowadzący od więzienia do najbliższej osady, składającej się z kilku chat, a oddalonej od niego o jakieś czterdzieści kilometrów w głąb lądu.

Przez tę wioskę udało mu się przedostać niezauważonym, ponieważ przepchał jeepa od osłoną nocy. Teraz miał nadzieję zdobyć tam jakiś środek lokomocji, bo zanim dotrą z Lilah do wioski, pościg za nimi już się rozpocznie. Kiedy strażnicy pojawią się ze śniadaniem, będą już wiedzieli, że nie był jakimś zwariowanym amerykańskim turystą, który wyłonił się z zarośli, prosząc, żeby wpuścić go do „willi”, *porfavor*, bo potrzebuje wody. Rankiem może się zrobić całkiem ciekawie.

Ale rano miał nadzieję być gdzieś z Lilah w bezpiecznym miejscu, gdzie będą mogli trochę się przespać. Chociaż szansa na to, że on zmruży oko mając ją przy sobie, była mniej więcej taka, jak to, że papież ogłosi zgodę na poligamię. Albo na to, że Lilah będzie chciała kiedykolwiek jeszcze uprawiać z nim seks. Westchnął, wyobraził sobie taką scenę, ale zaraz wybił to sobie z głowy.

Maszerowali prawie dwie godziny, nie odzywając się do siebie. Słyszał za sobą jej coraz cięższy oddech, co było zrozumiałe, bo od któregoś momentu przyspieszył i musiała naprawdę się wysilać, żeby za nim nadążyć. Jednak najważniejsze było, żeby ją bezpiecznie doprowadzić, a nie, żeby być miłym panem. Z drugiej strony, to był maraton, a nie sprint, i nie ma sensu dziś zmęczyć jej tak, żeby nie mogła iść jutro.

– W porządku? – spytał, zwalniając nieco.

– Tak.

Mimo tej deklaracji, słyszał w jej głosie zmęczenie. Było jasne, że gotowa jest maszerować całą noc niż przyznać, że jest zmęczona. Mimo że wyglądała na delikatną, miała twarde kręgosłup, jak dziesięć kobiet razem wziętych. W bardzo ładnych plecach.

– A ja nie. Zróbmy przerwę.

Zgodnie z tymi słowami, stanął. Ona nie powiedziała ani słowa, ale musiała nabrać tchu, a poza tym, niby dlaczego miała się do niego odzywać? Z drugiej strony, pewnie miała rację. Jeśli będzie się zachowywać jakby była niewidzialna, może jego poziom testosteronu spadnie do poziomu prawie normalnego. Wypił łyk wody i rozejrzał się po okolicy, zanim spojrzał na nią.

Zauważył, że pokuśtykała do najbliższej palmy i oparła się o nią ręką.

– Co się stało?

– Nic, chyba nadepnęłam na jakiś kolec. Uniosła nogę, żeby obejrzeć swoją stopę. Błada, smukłą, gołą stopę.

Dominic przez chwilę nie mógł w to uwierzyć. Bez zastanowienia podszedł i chwycił ją za ramiona.

– Gdzie, do diabła, masz buty?

– Za pasem – odpowiedziała bez tchu. – To są sandałki. Wąskie paseczki, z przyklejonym piaskiem wpijały się w ciało i raniły mi nogi. Nie mogłam w nich za tobą nadążyć. Przepraszam, nie chciałam opóźnić.

– Do diabła, Lilah, nie ty tutaj dowodzisz, tylko ja. Nie masz podejmować żadnych decyzji i akcji, bez ustalenia tego najpierw ze mną. Zrozumiano?

– Dobrze – powiedziała.

Sprawdził kopnięciem leżącą kłodę, a kiedy okazała się wystarczająco solidna, usadził na niej dziewczynę. Położył plecak na ziemi, wyjął latarkę i apteczkę. Ujął skaleczoną stopę i zbadał ją. Na szczęście, oprócz długiego kolca i początku pęcherza na pięcie, nie było tak źle, jak się spodziewał. Nagle zdał sobie sprawę z tego jak delikatna jest jej stopa, jak miękka skóra, której dotykał, jak łatwo można by unieść jej stopy i dotknąć twarzą jej najbardziej intymnego kobiecego miejsca...

– Nie jest tak źle – powiedział, żeby odpędzić te myśli – Trzeba zdezynfekować, położyć antybiotyk, a potem bandaż wodoodporny. – Wyjął kolec, zabawił się w pielęgniarkę, po czym przyjrzał się drugiej stopie. Kolejny pęcherz i dwa rozcięcia. – Powinno być dobrze. Jutro skombinuję ci jakieś buty. Myślę, że dosyć zrobiliśmy, jak na jedną noc. Za kilka godzin będzie jasno. Możemy tu rozłożyć mały obóz i trochę się przespać. Zaczął chować wszystko na miejsce.

– Myślę, że powinnam ci podziękować. Znowu.

W tym momencie popełnił fatalny błąd. Spojrzał na nią. Cały gniew, jaki w sobie wypracował, uszedł, jak powietrze z przedziurawionej dętki. Nie mógł nie zauważyć pulsującej tętnicy na szyi, łuku miękkich, różowych warg, cery bez skazy i błysku łez w oczach, otoczonych gęstymi rzęsami. Łez, które on spowodował. Po tym, jak się dzielnie trzymała przez kilka tygodni uwięzienia, po tym, jak wykonywała dzielnie wszystko, co jej polecił. Zadania, przed którymi cofnąłby się niejeden żołnierz.

– Do diabła, księżniczko, nie rób tego. Tylko nie płacz.

– O, Boże – przycisnęła pięści do oczu. – Przepraszam. – Była wyraźnie zawstydzona i jakimś cudem zdobyła się na wysiłek słabego uśmiechu. – Nie będę, obiecuję.

W tym momencie był ugotowany. Z jękiem upadł na kolana i poddał się tej nieprzepartej potrzebie, która męczyła go, wydawało się, całe życie, a nie tylko kilka godzin. Uniósł się z kolan, nachylił, wczepił palce w jej włosy i pocałował ją.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Generalnie Dom uważał całowanie za sztukę. W powolnym odkrywaniu zarysów kobiecych ust, kosztowaniu ich smaku było coś uwodzicielskiego. Jednak całowanie Lilah należało do zupełnie innej kategorii. Żegnaj, sztuko. Witaj sporcie kontaktowy.

Było to cholernie denerwujące. Poza tym, upokarzające. Wystarczyło, że dotknął jej palcem, a co dopiero pocałował, i od razu wariował. I tak było od początku. Miał pewnie ze dwadzieścia lat, kiedy zaczął marzyć, żeby zaliczyć tę piękną bogatą panienkę, którą obserwował z perspektywy chyba kilometrów trawnika należącego, jak już teraz wie, do Abigail Sommers. Jego aspiracje wzrosły po pierwszym spotkaniu z Lilah twarzą w twarz. Z bliska była jeszcze bardziej niezwykła, niż się spodziewał; cudownie delikatna blondynka z arystokratycznym sposobem bycia, który przewidywał, i wewnętrzną wrażliwością, której nie oczekiwał.

Oczywiście nie przyszło mu nawet na myśl, że mogła być dziewicą, a kiedy się o tym przekonał, odkrył w sobie nieprzebrane pokłady opiekuńczości w stosunku do niej. Nigdy się też nie spodziewał, że kiedy zaspokoi swą ciekawość, nie będzie miał dość, tylko będzie jej pragnął coraz bardziej.

Mimo swego młodego wieku nie był naiwnym dzieciakiem. Zaliczył już pobyt w armii, w różnych jednostkach, mieszkał w różnych miejscach i zadawał się z różnymi ludźmi. Zarabiał jakieś pieniądze od dziesiątego roku życia, co było koniecznością, jeśli należało się do dziewiątki dzieci, których matka nie żyła, a ojciec z trudem zarabiał tyle, żeby coś włożyć do garnka.

Miał również doświadczenia seksualne i wydawało mu się, że wie wszystko na temat przeciwnej płci. Nie wiedział – i mógł się o tym przekonywać już na pierwszej randce z Lilah. Podjechał po nią na starym harleyu, którego przerobił z pomocą swego brata Taggarta. Poza pierwszą misją w morskich komandosach nigdy w życiu się tak bardzo nie denerwował. Oczywiście tego nie okazywał i nie przyznałby się przed nikim, że nie jest to taka zwyczajna randka, jak z każdą inną świeżo poznaną dziewczyną.

Zaczął się o tym przekonywać, kiedy zbliżał się długim, zaokrąglonym podjazdem, wzdłuż którego rozmieszczono klomby z kwiatami i błyskającymi latarenkami, do frontowych drzwi, ozdobionych z boku witrażami. Podchodziło się do nich przez portyk rozmiarów pokoju dziennego w jego rodzinnym domu.

Wszystko to przestało mieć znaczenie, gdy Lilah podeszła do drzwi. Była ubrana w białe spodnie i jasnoniebieski bliźniak, kilka tonów jaśniejszy od jej oczu. Błyszczące włosy spięła wysoko w koński ogon. W uszach miała maleńkie perełki i pachniała bardzo delikatnymi perfumami, z odrobiną wanilii i piżma, zupełnie inaczej niż dziewczyny, które znał.

Wyglądała i pachniała kosztownie, jak coś, na co nie byłby w stanie zarobić całe życie, choćby nie wiem ile pracował. A jednak, gdy tylko ją zapewnił, że nie stanie jej się nic złego, zaufała mu na tyle, że usiadła za nim na motocyklu, objęła mocno, tak jak sobie wymarzył, i pomknęli z dala od rezydencji, do miasta.

Najpierw zabrał ją do Carlina, niedaleko Miner Street, gdzie chłopaki w jego wieku, którzy też strzygli trawniki, przychodzili na hamburgery. Kiedy weszli, zwracała uwagę wyłącznie na niego. Należały jej się dodatkowe punkty za to, że nie zauważała wszystkich spojrzeń skierowanych w jej stronę.

Przez następną godzinę zaskakiwała go coraz bardziej, aż doszedł do wniosku, że to, co brał za wyniosłość, było po prostu nieśmiałością. Pod tą opanowaną fasadą kryło się olbrzymie poczucie humoru i nieprzeciętna inteligencja. Usztywniła się tylko, kiedy po posiłku, wychodząc, objął ją ramieniem.

Następnym przystankiem był Diablo Point, punkt widokowy na północ od Denver, z którego na zachodzie zaczynały się już wznosić Góry Skaliste. Był piękny letni wieczór w Colorado, pełnia księżyca, niebo usiane gwiazdami, które wisiały, wydawało się tak nisko, że można sięgnąć ręką i dotknąć. Dominic wziął dziewczynę za rękę i zaprowadził pod rozłożystą sosnę, której gałęzie dawały przytulne schronienie.

Wtedy ją pocałował i poczuł, jakby wybuchło mu coś w głowie. Stracił wszelką samokontrolę i zdolność rozumowania. W ciągu sekundy, z mężczyzny, który kontrolował sytuację, stał się mężczyzną w potrzebie, skłonnym błagać. Zresztą nie doszło nawet do tego, bo szybko się zorientował, że Lilah jest w takim samym stanie. Nie wydała żadnego dźwięku, ale po tym, jak zarzuciła mu niewprawnie ręce na szyję, jak jej ciało zadrżało przy jego pocałunku wiedział wszystko, co chciał wiedzieć.

Lilah go pragnęła. Z jakichś powodów ta świadomość dodała mu sił, aby zwolnić tempo. Zdołał powstrzymać się przed seksem aż do czwartej randki, jakieś dziesięć dni później.

Było to doświadczenie, które zmieniło jego życie, delikatnie mówiąc. Nie było to tylko pożądanie. Czuł się uskrzydłony, roznosiło go, jakby jego skóra nie mogła pomieścić ciała. Nie potrafił nazwać tego uczucia.

Udało mu się to wiele lat później, kiedy będąc komandosem morskim stacjonował w Coronada. Pewnego wieczoru po kolacji poszedł z kobietą, z którą się wtedy spotykał, do niej do domu. Zanim przeszli do innych zajęć, ona włączyła na wideo swój ulubiony film *litania*. Dom nie zwracał specjalnej uwagi na film, ale w którymś momencie, kiedy sprawił, że jego partnerka była coraz bardziej zadowolona, zerknął na ekran.

Leo DiCaprio z rozpostartymi rękami stał na dziobie ogromnego statku, owiany wiatrem, i z błogim uśmiechem wołał: „Jestem królem świata”.

Wtedy, po kilku latach starań, żeby o niej nie myśleć, wspomniął Lilah i przyszło mu do głowy, że to, co czuł przy niej, było właśnie syndromem „króla świata”. Oczywiście teraz było inaczej.

Do diabła, masz znacznie poważniejszy problem. Chyba zauważyłeś, że jesteś już bliski pominięcia żelaznej zasady, żeby nie wchodzić w intymne relacje z klientką?

Zapewnił się, że to się nie wydarzy. No, wprawdzie czuł się inaczej, niż po każdym innym pocałunku i trzeba przyznać, że nie był to zwykły pocałunek. Po pięciu sekundach od momentu, gdy ich usta się połączyły, to, co nimi robili, stało się właściwie aktem seksualnym. Każda cząsteczka jego ciała dążyła do zbliżenia z nią w jednym celu. Co nie znaczy, że tracił kontrolę. Przeczytał gdzieś, że mężczyzna, ryzykujący życiem, przejawia normalną reakcję

dążenia do seksu, aby składając gdzieś swoje nasienie, zapewnić genetyczne przetrwanie.

Poza tym, Lilah nie miała nic przeciwko temu. Czuł jej oddech, tak samo przyspieszony jak jego. Wydawało mu się, że gorąca mgła spowija jego mózg.

– Lilah? Maleństwo, co się stało? Chcesz, żebym przestał?

– Nie, tylko nie chcę... proszę, nie... Przerwała i opuściła głowę.

– Co? – popędział. Teraz już nie mógł się powstrzymać, żeby jej nie dotykać. Ograniczył się jednak do delikatnego obejmowania dłońmi jej twarzy, a nie dotykania sutków, czego naprawdę pragnął. – No, powiedz mi, co się dzieje?

Westchnęła cichutko i ich spojrzenia się spotkały.

– Przepraszam. Wiem, że zachowuję się jak dwunastolatka. I oczywiście, jasne jest, że lubię... całować się z tobą. Ale tam, na plaży, zrobiłam coś, co cię zezłościło i nie chcę tego powtórzyć. Nie chcę, żebyśmy się gniewali.

– To nie chodziło o ciebie – powiedział, tłumacząc sobie, że nie czas na inne wyjaśnienia.

– Póki nie wydostaniemy się z tej wyspy, moim naczelnym celem jest zapewnienie ci bezpieczeństwa. Staliśmy na plaży, wystawieni na widok, łatwo nas było zauważyć. To nie był dobry pomysł. – Mimo że nakazał sobie trzymać się od niej z daleka, jego palec nie posłuchał i gładził jej policzek i dolną wargę. – Prawda jest taka, że mnie też wzięło.

Widać było, że odetchnęła.

– Więc to nie była moja wina?

– Nie. – Wstał i odezwał się żartobliwie: – Lepiej będzie, jak przestanę się wygłupiać i zacznę pracować na te pieniądze, które mi twoja babcia płaci. Czy możesz zostać tu na jakiś czas sama, a ja pójdę poszukać miejsca na małe obozowisko?

Mimo zmęczenia, udało jej się słabo uśmiechnąć.

– Chyba sobie poradzę.

– Dobrze – odpowiedział z niecierpliwością. Chciał już odejść jak najprędzej, zwłaszcza gdy się uśmiechnęła. Ma zadanie do wykonania i im bardziej się do niego przyłoży, tym prędzej pożegnają San Timoteo. A to leży w interesie ich obojga. Spojrzał na nią, dodając jej odwagi. – Nie będę długo – powiedział i rozpląnął się w ciemnościach.

Lilah obudziła się w ramionach Dominica. Przez moment myślała, że śni, ale łaskotanie jego oddechu na jej skroni i bicie jego serca, które czuła za plecami, upewniły ją, że nie.

Nie wiedziała, jak długo tak leżała, bojąc się poruszyć. Zastanawiała się, czy powinna go obudzić, ale uległa pokusie i wtuliła się w niego mocniej. Cichutko westchnęła z zadowolenia i spróbowała sobie zrekonstruować poprzednią noc.

Była piesza wędrownica. Po pierwszych dwudziestu minutach, kiedy stopy zaczęły ją boleć, a w płucach kłuło, nazwała tę trasę „San Timoteo – Prawie – Marsz – Śmierci”. Później się zatrzymali i Dominic na nią wrzeszczał, a potem nagle był taki miły, że z trudem powstrzymała się od płaczu.

A jeszcze później się całowali. To wspomnienie jeszcze teraz, wiele godzin później, rozpalało w niej gorący płomyk. Potem nastąpiła ta krótka i niespodziewana rozmowa, zakończona jego nagłym zniknięciem.

Zgodnie z obietnicą nie był długo. Mimo jej protestów zaniósł ją w miejsce, w którym już

rozłożona była plandeka i przygotowane schronienie. Następnie kazał jej napić się wody i zjeść coś niezwykle pożywnego, pod nazwą MRE, co wyjął ze swego plecaka, o którym zaczęła myśleć jako o Zupełnie Zdumiewająco Bezdennym Plecaku.

A potem wszystko stało się takie zamglone. Wydaje jej się, że zaczęła zasypiać na siedząco, że Dominic ją ułożył i nakrył. Później chyba otworzyła oczy, musiało to być blisko świtu i widziała, jak siedział ze skrzyżowanymi nogami, plecami do niej, na straży.

Znacznie wyraźniejsze było wspomnienie momentu, kiedy wreszcie wyciągnął się obok niej, duży, silny, tak cudownie ciepły i męski. Teraz promienie słońca tańczyły na brzegu osłaniającej ich schronienie płachty, a ptaki swoim śpiewem ogłaszały nowy dzień. Nocny chłód był już tylko wspomnieniem.

Opierała się policzkiem o wypukły mięsień nad łokciem Dominica, jego druga ręka obejmowała ją w pasie. Nogi mieli splecione, a cienki materiał jego spodni łaskotał ją w stopy.

Trudno jej było uwierzyć, że wczoraj o tej porze – czy to naprawdę było wczoraj? – była sama. Uwięziona. Tracąca nadzieję. Bardziej, niż trochę, przestraszona. To ostatnie nie było zaskoczeniem. W ciągu ostatnich tygodni Lilah zdała sobie sprawę z tego, że większość swego życia się bała. Bała się, że zawiedzie babcię, że zhańbi rodowe nazwisko, że będzie taka jak jej matka, której nigdy nie poznała. Zdaniem babci matka była piękna i lekkomyślna i to ona była odpowiedzialna za śmierć ojca Lilah. Jak uwodzicielska syrena, swym śmiechem i wesołością, Melanie Morgan Cantrell odciągała jedynego syna Abigail, Jamesa, od zobowiązań wobec rodziny. Gdyby zajmował się interesami, tak jak życzyła sobie jego matka, nie pojechałby na tę imprezę w Montanie, a tym bardziej nie wsiadłby do małego samolociku, który rozbił się w Górach Skalistych i zginęli wszyscy znajdujący się na pokładzie, łącznie z młodą Melanie.

Wprawdzie babcia nigdy tego tak nie ujęła, ale Lilah podejrzewała, że jej zdaniem synowa na to zasłużyła. Nie ukrywała natomiast nigdy, że nie pozwoli, by jej jedyna wnuczka poszła w ślady matki. Wychowywała wnuczkę tak, by była jej przeciwieństwem: musiała być opanowana, obowiązkowa, odpowiedzialna.

Jedyna jej krewna była zadowolona z efektów takiego wychowania, ale dokąd to zaprowadziło samą Lilah? Rozmyślała nad tym przez ostatnie tygodnie. Miała prawie trzydzieści lat i była sama. Nie miała nawet wspomnień pełni życia. Ale to się może zmienić. Ona może się zmienić. Ta możliwość zaczynała nabierać kształtów teraz, kiedy chroniły ją ramiona Dominica.

Pragnęła go. Mogła próbować się oszukiwać, że siła ich wzajemnego przyciągania w ciągu ostatniej doby wynikała wyłącznie z powodu znajdowania się razem w stresujących okolicznościach. Że gdyby spotkali się przypadkowo na ulicy lub gdzie indziej, przywitaliby się uprzejmie i nic więcej. Jednak w głębi serca wiedziała, że nigdy nie przestała o nim myśleć i marzyć. Od chwili, gdy zobaczyła, jak strażnicy wciągają go do celi, pragnęła go z powrotem w swym życiu – na zawsze, na rok, na tydzień, choćby na godzinę. Chciała spróbować, czy mają szanse teraz, kiedy są dorośli? Nawet gdyby miała go stracić, gotowa jest podjąć to ryzyko.

Skoro się zdecydowała, wzięła głęboki oddech, a potem pocałowała go leciutko w ramię. Natychmiast się obudził i poczuła wstępującą w jego ciało energię, która przedtem była uśpiona. Lilah obróciła się, żeby móc spojrzeć na jego twarz. Była trochę przygnieciona od snu, włosy miał rozczochrane, ale zielone oczy były czujne.

Jaki on piękny, pomyślała wiedząc, że takiego określenia nie stosuje się zwykle do mężczyzn. Zaskoczona własną odwagą, przesunęła palcem po jego ciemnej brwi.

– Dzień dobry.

– No. – Coś rozbłysło w jego oczach, po czym opuścił powieki. – Odpoczęłaś trochę?

– Tak. – Serce zabiło jej mocniej, kiedy się przekonała, że to ona i jej wędrujące palce, które doszły teraz do jego skroni, powodują pewną jego ostrożność, której nie potrafił ukryć.

Odważyła się wsunąć całą dłoń pod jego głowę. Patrzyli na siebie, oddaleni zaledwie o kilka centymetrów. Lilah zdecydowana była pójść na całość. – Dominic...

Jeszcze nie skończyła, kiedy zauważyła napięcie w jego twarzy.

– Ciii... Słyszysz?

– Co?

– No, to.

Starła się skupić, ale dopiero po chwili usłyszała łoskot ciężarówek i krzyki ludzi z oddali.

– Czy myślisz...

– Cholera! – Wygrzebał się błyskawicznie z ich legowiska i zerwał na równe nogi. – Dalej – mruknął przez zęby. – Ruszaj się.

Z bijącym sercem wyczołgała się za nim, wciąż nie całkiem pewna, jaki jest powód tego alarmu.

– O co chodzi? Nie rozumiem! Chyba spodziewałaś się, że będą nas poszukiwać.

Jeszcze dobrze nie wyszła spod daszku, kiedy już go zwinął i wraz z cienkim kocikiem wsunął do plecaka.

– No, pewnie. – Rzucił jej już suche sandały. Zrzucił na ziemię gałęzie, które tworzyły ich tymczasowe schronienie. – Tylko nie przyszło mi do głowy, że zabiorą psy, żeby nas tropiły.

– Psy? – Przeszły ją dreszcze. Męczyła się z założeniem i zapięciem sandałów, które skurczyły się nieco po nocnych przygodach.

– No. – Wrzucił na ramiona plecak i poprawił szelki. – Nie słyszysz?

Teraz rzeczywiście słyszała. Nagle odróżniła te odległe dźwięki od zwykłego szumu dżungli.

– O Boże!

Zawahał się na moment, po czym schwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

– Uważaj. Nie pozwolę, żeby ktokolwiek zrobił ci krzywdę. Przysięgam.

Otworzyła usta, żeby powiedzieć, że ma do niego pełne zaufanie, ale nie zdążyła nic powiedzieć, bo jego usta znalazły się na jej wargach. Pocałunek był krótki, ale mocny.

Odsunął ją od siebie.

– Gotowa? Skinęła głową.

– Cokolwiek się będzie działo, trzymaj się mnie i rób dokładnie to, co ci powiem, zrozumiano?

– Tak.

– Grzeczna dziewczynka. No, to chodźmy.

Ruszył szybko, nie wiadomo jak odnajdując jakieś przejście w gęstwinie. Lilah, wpatrując się w jego szerokie plecy, z trudem nadążała.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

– Są coraz bliżej, co? – wysapała Lilah, gdy wspinali się na kolejne porośnięte paprociami wzniesienie.

– Może troszkę – przyznał, wydłużając krok.

Nie widział sensu w opowiadaniu jej, że chociaż, kiedy tylko teren na to pozwalał, zmieniali trucht na szybki bieg, według jego obliczeń psy mogą ich dopaść w ciągu pół godziny. W końcu, pomyślał ponuro, wślizgując się pod gęste pnącze, chyba poradzi sobie z kilkoma psami. Jeśli zajdzie taka konieczność, pozbędzie się ich dzięki uprzejmości 9mm automatu, owiniętego w nieprzemakalny pokrowiec, schowanego na dnie plecaka, a zakupionego gdzieś w bocznej uliczce Santa Marita.

Nie chciałby, żeby do tego doszło. Oczywiście, że dzięki temu zyskaliby trochę czasu, ale z drugiej strony odkryliby swoje miejsce pobytu równie skutecznie jak psy. Poza tym, broń ręczną można stosować tylko z bliskiej odległości, więc, mimo że Lilah byłaby fizycznie bezpieczna, byłaby świadkiem zabijania. Odbieranie życia żyjącej istocie mogłoby być traumatyczne dla osoby chowanej pod kloszem, jak ona, i wołałby jej tego zaoszczędzić.

Nie przypuszczał wprawdzie, że ona by protestowała albo miała do niego pretensje. Przekonywał się co chwila, że Lilah jest znacznie mniej rozpieszczona, a bardziej nieustraszona, niż pamiętał. I nie mógł się zdecydować, czy to ona się zmieniła, czy on był wobec niej niesprawiedliwy przez tyle lat, ale nie miało to teraz znaczenia. Ważne było to, że z każdą wspólnie spędzoną godziną coraz bardziej go zdumiewała. Gdy się obudził, zauważył, że są spleceni jak dwie nitki tej samej liny. Od czasu służby w SEAL nie zasnął nigdy w takiej bliskości drugiej osoby. Ona zdołała przysunąć się tak, że nie poczuł.

Teraz imponowała mu tym, że dotrzymywała mu kroku, mimo że był prawie trzydzieści centymetrów wyższy i sporo cięższy, a poza tym miał znacznie odpowiedniejsze obuwie. Zresztą on był wyszkolony do takich zadań, a na liście umiejętności dla pańienek z dobrych domów na pewno takie zadania nie występowały. Zostawiono tam chyba miejsce dla umiejętności „zdobyć i przywiązać do siebie faceta po prostu tylko oddychając”, pomyślał złośliwie. Lilah opanowała tę umiejętność do perfekcji. Mimo że był pochłonięty akcją uwalniania ich i wydostawania z obecnej sytuacji, cały czas był świadom jej atrakcyjnej, godnej pożądania kobiecości.

Uniósł gałązkę, żeby mogła przejść, a potem schwycił ją za rękę, kiedy wspinali się po stromym zboczu. Kiedy siedział w nocy, słuchając jej oddechu, nabrał pewności, że nie ma szans, aby nie przespali się z sobą zanim powrócą do cywilizacji. Nie ma co walczyć z nieuniknionym. Pragnął jej i był pewien, że ona pragnęła jego. Byli oboje dorośli i wolni i jeśli chcieli mieć trochę przyjemności mimo otaczających ich niebezpieczeństw, mieli do tego prawo. Pozostawał jeszcze tylko drobny i problem pozbycia się pogoni.

– Nie martw się – powiedział, znów chwytając ją za rękę, kiedy roślinność się przeredziła i znów zwiększył tempo. – Nie złapią nas. Zaufaj mi.

Roześmiała się krótko.

– Dom, ufam ci – powiedziała, krzywiąc się, gdy zaczepiła kosmykiem włosów o ciemną gałązkę. – Nie wiem dlaczego, ale ci ufam. Chociaż muszę przyznać – ścisnęła mocniej jego rękę, gdy przechodzili przez zwaloną kłodę – że chętnie poznałabym twój plan ucieczki.

– Daj mi parę minut, to ci pokażę.

Skupił się, żeby odtworzyć w pamięci mapę terenu i skierował się jeszcze bardziej w prawo. Mimo że szli teraz po prawie otwartej przestrzeni, wydawało im się, że wloką się niemilosiernie. Przecinali małą dolinkę, przechodząc pod grubymi konarami albo je obchodząc, patrząc pod nogi, żeby nie potknąć się o wystające konary, częściowo zakryte opadłymi liśćmi.

Od południa doszedł ich odległy dźwięk grzmotu. Dominic spojrział w kierunku wybrzeża, nad którym wisiały na horyzoncie ciężkie chmury. Nie było pewne, czy dotrą na czas, żeby im pomóc, ale dobrze było mieć nadzieję, że przyroda jest po ich stronie. Każda kropla deszczu utrudniała psom podjęcie tropu.

Idąca obok niego Lilah potknęła się, więc wyrównał krok, żeby ją podtrzymać.

– Dobrze się czujesz? – spytał.

– W porządku – odpowiedziała natychmiast.

Jedno szybkie spojrzenie i wiedział, że było to bardzo wątpliwe. Spodnie i bluzkę miała podarte, na policzku poważne zadrapanie i kilka mniejszych na kostkach i stopach. Było mu bardzo żal, ale nie mógł nic na to poradzić w tej chwili, więc zrobił tak, jak był wytrenowany: odłożyć problemy dopóki nie nadejdzie czas, żeby się nimi zająć.

Kiedy zaczął już wątpić w to, że dobrze oceniał ich położenie, zobaczyli srebrną wstęgę wijącą się wśród zieleni. Przedarli się przez gęstwinę namorzyn i znaleźli się nad szerokim strumieniem krystalicznie czystej wody płynącej w kamiennym korycie.

– Jeszcze trochę – powiedział Dom, wchodząc do strumienia po łydki – i będziesz mogła odpocząć.

Trzymał ją pod ramię, żeby nie przewrócił jej silny prąd. Najszybciej jak się dało, pokonywał zakręty, prowadząc ich z biegiem rzeki z dala od miejsca, w którym weszli do wody.

Przed nimi strumień rozdawał się, opływając wysepkę rozmiarów ciężarówki z platformą. Dom uznał, że idealnie nadaje się do jego celów i uniósł Lilah w ramionach.

– Co ty wyprawiasz?

– Podosadam cię. – Kiedy stanął na porośniętej paprociami wysepce, postawił dziewczynę i zdjął plecak. Wyjął z niego rewolwer i wsadził w pokrowcu za pas. – Weź to – wskazał na plecak – i ukryj się tam. – Pokazał na kamień, wielkości człowieka. – Siedź i nie ruszaj się, niedługo wrócę.

– Wrócę? – Opadła na kolana i odgarnęła włosy z twarzy. – Dokąd idziesz?

– Idę założyć mylny ślad.

– Ale...

– Rozumiesz, co powiedziałem? – Tak, ale...

– Ufasz mi, tak? – Tak, ale...

– Więc idź – powiedział ostro. – Będę niedługo. Zamknęła usta i uniosła głowę. Upewniwszy się, że zrobi, co kazał, odwrócił się, ale znów go zaskoczyła.

– Zaczekaj. – Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała w policzek. – Bądź ostrożny.

Odsunęła się, a on się odwrócił i poszedł z powrotem drogą, którą przyszli.

Plecak Dominica ważył chyba tonę. Lilah nie mogła uwierzyć, że on biegł z takim ciężarem, więc zacisnęła zęby i zaciągnęła plecak pod skatę, tak jak polecił Dominic.

Polecił to może zbyt eleganckie słowo, pomyślała, gdy plecak podskoczył na nierównym gruncie. Należałoby powiedzieć „rozkazał”. Trudno jednak mieć pretensje do kogoś, kto dla niej narażał życie.

Podziwiała kondycję Dominica. Nie dosyć, że składał się wyłącznie ze sprężystych mięśni, był absolutnie odporny na zmęczenie. Nie wiadomo skąd w jej głowie pojawił się obraz ich dwojga, ona w jego objęciach, on z ustami przy jej sutku, wypełniający ją sobą coraz głębiej i głębiej. Poczula pieczenie między udami i zaśmiała się cicho. Wspaniale, Lilah. Dominic bawi się w chowanego z bandą krwiożerczych psów i ich nie mniej krwiożerczych panów, a ty robisz sobie z niego gwiazdę swoich erotycznych fantazji.

Powtarzała sobie, że powinna się wstydzić, ale tak nie było. Od bardzo dawna nie była z mężczyzną, prawdę mówiąc od czasu Dominica było tylko dwóch, ale żaden z tych związków nie był satysfakcjonujący. Więc miała prawo trochę pomarzyć, zresztą nie miała nic lepszego do roboty. Ale gdyby jakimś cudem jej marzenia się spełniły, chyba nie miałyby siły nawet ruszyć wargami, nie mówiąc o gorącym, szaleńczym seksie. Prawdę rzekłszy, bolały ją nie tylko wszystkie mięśnie, ale również miejsca, o których nie wiedziała, że znajdują się w nich jakieś mięśnie, jak wierzch stopy, wgłębienia pod kolanami, czy boki ciała poniżej pach.

Była też przekonana, że jeszcze nigdy w życiu nie była tak brudna. Wszystkie widoczne miejsca na skórze pokryte były pyłem, który przykleił się pod warstwą potu.

Skóra na głowie była lepka, włosy sztywne, a pociągnięcie nosem nie pozostawiało wątpliwości, że śmierdziała jak dziki kozioł, chociaż nigdy takowego nie widziała i nie wahała. Obróciła się na bok i patrzyła tęsknie na i przepływający tuż obok strumień. Właściwie można by go nazwać rzeką, bo w miejscu, w którym przechodzili z Dominikiem, było już dwa razy głębiej, nie kilkanaście, ale kilkadziesiąt centymetrów.

Niezależnie od nazwy, wyglądał bardzo zachęcająco, nawet jeśli woda w nim nie była tak zimna, jak w Colorado. Przymknęła oczy i wyobraziła sobie, jak się rozbiera i zanurza zmęczone i spocone ciało w chłodnej wodzie, jak spłukuje sól z włosów. Tyle że Dominic nakazał jej siedzieć na miejscu, a nie wspominał o kąpieli, praniu ubrań czy ćwiczeniu stylu bocznego. Kazał jej zejść z widoku i czekać. Więc tak robi.

Obróciła się na plecy i obiecała sobie, że jeśli będzie trzeba, będzie tak czekała na jego powrót do końca życia. Modliła się ze wszystkich sił o jego bezpieczeństwo.

Nie wiedziała, ile czasu minęło od jego odejścia – dwadzieścia minut, czterdzieści, godzina – gdy usłyszała w oddali szczekanie psów i pokrzykiwania ludzi, ale szybko wszystko ucichło. A później słońce znikło za warstwą ospałych chmur i straciła zupełnie poczucie czasu. Było duszno, gorąco i wilgotno i może się nawet na chwilę zdrzemnęła. Kropla deszczu, jaka spadła Jej na twarz, przywróciła ją do rzeczywistości. Patrzyła w szare

niebo i zastanawiała się, czy może sobie tylko wyobraziła ten cudowny dotyk wody. Po chwili spadła na nią jeszcze garść ciężkich kropel i leżąc w napięciu oblizywała słone usta. Minęła minuta i rozległ się stukot, jak kastanietów. To wiatr poruszał gałęzie, napędzając jeszcze więcej deszczu.

Nagle usłyszała huk grzmotu i z rozdartej chmury lunęły na nią strugi wody, jak z ogrodowego węża. Lilah zerwała się na równe nogi i wystawiła twarz. Zorientowała się, że takiej okazji nie można zmarnować. Sięgnęła do plecaka Dominika i zaczęła szperać po kieszeniach. Trafiała za piątą próbą: wsunięte w plastikową przegródkę tkwiło małe białe mydło. Szczęśliwa, błyskawicznie zsunęła sandaalki, spodnie i tiszert Dominica i umieściła na najbliższym krzaczku.

Najpierw umyła twarz, potem, ulegając próżności, namydliła włosy i poczuła, jakie zrobiły się znów miękkie i jedwabiste, gdy spłukał je deszcz. Chciała z nich wycisnąć wodę, ale zadanie okazało się beznadziejne, bo wciąż padało, jakby nigdy nie miało przestać. Potem namydliła pozostałe części ciała, zaczynając od najbardziej intymnych i stała pod deszczowym prysznicem, rozkoszując się uczuciem czystości.

– Czy to prywatna impreza?

Na dźwięk głosu Dominica otworzyła oczy i mało nie wyskoczyła ze świeżo umytej skóry. Obróciła się nagle, gdy zobaczyła, że to naprawdę on.

– Czy... Stał ze skrzyżowanymi ramionami, oparty o kamień który był jej schronieniem i cedził słowa, przesuwał po niej wzrokiem, a w ślad za tym spojrzeniem na jej ciele pojawiała się gęsia skórka.

– ... każdy może przyjść?

Dzięki Bogu, że nic mu się nie stało. Z bandaną obwiązaną wokół kształtnej głowy, więcej niż jednodniowym zarostem i w mokrym podkoszulku, oblepiającym szerokie bary, wyglądał jak najemnik z plakatu reklamowego.

Lilah przeknęła ślinę i zaczęła się zastanawiać, na co ona właściwie czeka. Dwa kroki i będą dotykali się stopami. Jeszcze jeden i znajdzie się w jego ramionach, a potem...

A potem może już sobie nie wyobrażać. Może sama poczuć, jak to będzie, gdy zdejmie biustonosz i majtki, obejmie rękami jego szyję, a nogami jego talię i oprze się o ciepłą i chropowatą powierzchnię skały. Już czuła jego usta na swoich ustach, jego dłonie pieszczące jej piersi, trzymające rozchylone uda. Jej plecy wygną się w tył, palcami wpije się w jego gładką skórę na twardych, szerokich ramionach...

– Woda się podnosi. – Głos Dominica, jak trzask biczem, przywrócił ją do rzeczywistości. Patrzyła, jak się wyprostował, opuścił bandaną na szyję i przeczeszał palcami gęste, czarne włosy. – Mówię to z przykrością, ale musisz się ubierać. Musimy iść.

– Co? – spytała prawie szeptem. Nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Usłyszał ją.

– Rozejrzyj się. – Nachylił się i zaczął zapinać wszystkie kieszonki w plecaku, które ona porozpinała. – Woda przybiera. Jeszcze dwadzieścia minut i ta wysepka będzie zalana. Musimy dostać się w jakieś wyższe miejsce, i to zaraz.

– Aha.

Zdała sobie sprawę z tego, że wciąż stoi, jak stała, i pożera go wzrokiem, a jej sterczące sutki i inne części ciała są wyraźnie widoczne poprzez moką bieliznę. Zdjęła z krzaczka zmokniętą koszulkę i włożyła ją przez głowę, następnie wcisnęła się w wilgotne spodnie. Zanim Dominic się wyprostował, miała już założone i zapięte sandały. Podniosła jeszcze mydło, które wypadło jej z dłoni i podała mu, jak posłuszny żołnierz.

– Proszę.

Przeszył ją wzrokiem i, jakby czytał w jej myślach, nagle w jego oczach zobaczyła obietnicę spełnienia. Zaczekała, aż po schowaniu mydła otarł dłoń o spodnie, podała mu rękę i dała się zaprowadzić do wody. Zawahała się na moment, gdy zobaczyła, że szybki strumień zmienił się w rwącą rzekę. Słyszała oczywiście o błyskawicznych powodziach, ale nigdy nie zdawała sobie sprawy z tego, że krajobraz może się zmienić tak szybko.

– O, naprawdę szybko.

– Teraz to jeszcze nic w porównaniu z tym, co będzie. Trzymaj się mojego paska i nie puszczaj, dobrze? – powiedział Dominic. Przerzucił plecak na lewe ramię, żeby jej ułatwić zadanie. – I nie rób takiej nieszczęśliwej miny. Nie mamy daleko, a przecież obiecałem, że nic ci się nie stanie.

– Wiem.

– Dobrze. Ale na wypadek, gdybyś potrzebowała jakiejś zachęty – posłał jej uśmiech, przed jakim powinny się strzec kobiety wrażliwe na taki wdzięk – obiecuję nadrobić zaległości, kiedy dotrzemy tam, gdzie mamy dotrzeć.

Uniosła głowę, starając się wyglądać na niewzruszoną i pewną siebie, chociaż z trudem łapała oddech.

– Ach tak?

– Masz to jak w banku.

Natychmiast znów stał się oficjalnym zawodowcem, obrócił się, zaczekał, aż ona dobrze się schwyła i wszedł w wodę.

Zdumiała się, ale woda wcale nie wydawała się chłodna. Sięgała jej najpierw do kolan, potem do pasa, wreszcie do piersi, gdy dotarli na środek. Nie zauważyła odłamka skały, który ją uderzył. Dopiero co wpatrywała się z podziwem w szerokie plecy Dominica, który rwał do przodu jak jednoosobowy niszczyciel całej marynarki, kiedy coś uderzyło ją w kolana, podcięło jej nogi i uderzyła się w czuły punkt łokcia. W tym momencie z bólu otworzyła dłoń i wypuściła szlufkę od paska Dominica, której się trzymała.

Nagle wszystko wokół niej stało się szare i woda zamknęła się nad nią, pociągając ją za sobą wartkim prądem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

To nie tropiące ich posokowce ani nieprzewidywalna pogoda, ani ludzie El Presidente go załatwią, pomyślał Dom. Nie, to będzie Lilah. Za każdym razem, gdy się odwrócił, ta kobieta robiła coś, co go przyprawiało o atak serca.

Kiedy przestał czuć jej ciężar za pasem, rzucił plecak na brzeg i obrócił się, żeby szukać jej w kłębiącej się wodzie. Przez chwilę, która wydała mu się najdłuższą w życiu, nie widział nic. Opanował go potworny strach.

Gdzie jesteś, księżniczko? No, dalej. Nie umieraj mi tu teraz. Mamy przecież poważną sprawę do załatwienia. No, daj mi jakiś znak, cokolwiek...

Jakby słysząc jego słowa, Lilah wynurzyła się na moment jakieś pięć metrów od niego. Otworzyła usta, żeby nabrać powietrza. Rzucił się w jej kierunku, bo dzięki swemu treningowi czuł się w wodzie równie pewnie jak na ładzie. Odbił się od dna, żeby jej prędzej dosięgnąć, i w tym momencie woda znów ją wciągnęła pod powierzchnię i Lilah znikła mu z pola widzenia.

Teraz opanowała go panika. Spokojnie. Uniósł nogi i dał się nieść prądowi, czekając, aż ona znów się pojawi. Kiedy minęło trochę czasu, a ona się nie wynurzała, nabrał powietrza i zanurkował. Niestety, woda była tak zanieczyszczona jakimś błotem, że widoczność była zerowa. Wynurzył się, uchylił głowę, przepływając pod konarem, i wysilał wzrok, żeby zobaczyć cokolwiek – czarny podkoszulek, fragment nogi, słoneczne włosy. Nic. Porażka nie wchodziła w grę, więc patrzył wciąż dookoła, bliżej i dalej. Nagle zauważył coś kątem oka. Niecałe trzy metry od niego wyskoczyła, jak korek z butelki. W bladej twarzy jej oczy wydawały się ogromne. Wykaszała trochę wody i w przerażeniu wykrzyknęła jego imię. Prąd obracał ją dookoła, a ona starała się utrzymać głowę na wierzchu.

– Trzymaj się! – odkrzyknął, chociaż być może szum wody zagłuszał jego słowa.

Natychmiast się obróciła. On jej nie słyszał, ale widział po jej ustach, że wykrzyknęła jego imię. Poczul olbrzymią ulgę. Jeżeli ona się przesuwająca i mówi, nie może być z nią tak źle.

I wtedy przegrała walkę o utrzymanie się na powierzchni. Poszła pod wodę po raz trzeci.

Nie zastanawiał się, tylko po prostu zareagował. Odsunął drzewo, tarasujące drogę na trasie, jaką przewidywał, Lilah płynie. Za moment był już pod wodą, odsuwając wszystko, co miało czelność stanąć na jego drodze. Ufał wyłącznie swej intuicji, wykształconej przez lata różnych doświadczeń, bo nie widział kompletnie nic.

Po piętnastu sekundach uchwycił coś, co natychmiast rozpoznał jako miękki zarys jej biodra. Jeszcze jedno pchnięcie i już ją obejmował w talii. Upewnił się, że się nie wyslizgnie i nie tracąc czasu, wyciągał ich na powierzchnię, na życiodajne powietrze.

W momencie, gdy się wyłonili ponad wodę, zacisnęła ręce wokół jego szyi, a nogi wokół pasa i prawie go zadusiła. Wtuliła głowę w jego ramię, drżąc, łapczywie wciągając powietrze.

– Dzięki Bogu – szepnęła. – Tak się bałam. Ale wiedziałam, że przyjdiesz. Wiedziałam. Wiedziałam.

– Cii, już wszystko dobrze, dziecino – uspokajał, gładząc ją po plecach. – Już wszystko w porządku, trzymam cię. – Chciał jej dać chwilę czasu na dojście do siebie, ale kiedy uderzył go jakiś kotłujący się kamień, wiedział, że wciąż im grozi niebezpieczeństwo.

– Posłuchaj, musisz coś dla mnie zrobić.

– Wszystko – odpowiedziała drżącym głosem.

– Musimy wydostać się z wody. W tym celu musisz mnie puścić. Musisz mi zaufać, że ja będę cię trzymał, żeby nas stąd wydostać. Zrobisz to?

Zapadła chwila milczenia.

– Tak – odpowiedziała, teraz już pewniejszym głosem. Teraz, podobnie jak już wiele razy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, sięgnęła do jakichś swoich nieprzebranych zapasów opanowania. Zwolniła uścisk. – W porządku. – W kącikach *jej* ust pojawił się nawet cień uśmiechu. – To uratuj mnie już. Proszę.

Tak. Ona go naprawdę wykończy.

Teraz jednak musiał natychmiast działać. Nie tracąc czasu ułożył ją w pozycji ratunkowej, objął ją ręką przez piersi i ruszył do brzegu. Mimo swych silnych nóg czuł, że gwałtownie wzbierająca woda i ciężkie, namoknięte buty utrudniają mu poruszanie. Jednak szybko odzyskał równowagę, stanął mocno na nogach i ostrożnie wygrzebał się z wody, trzymając Lilah w ramionach. Rozejrzał się i bez zatrzymywania pospieszył na wyższy teren.

Uniosła głowę i rozglądnęła się.

– Możesz mnie postawić. Umieję chodzić.

Nie mógł się nadziwić, jak była pełna przeciwieństw. Drobna i krucha, jak najdelikatniejsze szkło, a jednocześnie twarda jak stal. Uświadomił sobie, jak wiele jeszcze o niej nie wie. Wiedział oczywiście, z tamtych czasów, że była bogatą panną z dobrego domu, a ponieważ od dawna się nie kontaktowali, nie miał pojęcia, co porabiała w ciągu ostatniej dekady.

Jednak, kiedy się zastanowił, o czym rozmawiali tamtego lata, jeśli w ogóle rozmawiali, doszedł do wniosku, że o nim. O jego braciach, stosunkach z ojcem, jak to jest dorastać w domu pełnym facetów, bez matki, o jego marzeniach, żeby wynieść się w diabły z tego Denver. Wtedy jeszcze nie planował kontynuować rodzinnej tradycji i iść do wojska. To było dobre dla starego, żeby być zawodowym wojskowym, dla Gabe'a, żeby zostać cichym bohaterem w Zielonych Beretach, albo dla Taggarta, który odsłużył swoje w Somalii i Bośni jako komandos w takich okolicznościach, że dotąd nie chce o tym opowiadać. Dom sądził, że ma inne zamiary.

Później Lilah go rzuciła i chciał wyjechać dokądkolwiek, szybko zostać kimś. Marynarka, a potem SEAL, komandosi morscy – to była odpowiedź na jego problemy.

Ale co wiedział o Lilah? Po chwili zastanowienia mógł odpowiedzieć – niewiele. Wiedział, że straciła rodziców, gdy była jeszcze niemowlęciem, i wychowywała ją sroga, energiczna babcia, która była na tyle taktowna, że wyjechała na długie wakacje tego lata, które oni spędzali razem. I że był jej pierwszym.

Chyba tyle. Choćby nie wiem jak wysilał pamięć, nie mógł sobie przypomnieć żadnej rozmowy na temat jej planów, marzeń, tego, czego oczekuje od życia. Patrząc wstecz, było to

wysoce prawdopodobne, bo w swej młodzieńczej arogancji przekonany był, że jedyne, o czym ona chce rozmawiać, to on.

– Mówię poważnie, Dominic. – Dotknęła jego twarzy, żeby zwrócić na siebie uwagę. – Nie musisz mnie nieść.

– Taa. – Zerknął na nią, ale nie zwolnił. – Pewnie masz rację, albo miałabyś, gdybym chciał cię słuchać. Ale nie będę.

– Ale...

– Cii... Zaraz cię położę, księżniczko. Możesz na to liczyć.

Jego dobór słów był świadomy. Podobnie jak spojrzenie w oczy, nim przesunął wzrok na jej usta i to cudowne wygięcie, a dalej resztę twarzy, delikatne ucho, wytworny zarys policzka i skroni, nim znów wrócił do oczu.

Chyba było widać po tym spojrzeniu jego pragnienie, bo lekki rumieniec zabarwił jej policzki.

– Och. – To króciutkie słowo było szeptem, prawie oddechem.

– Taa. – Zdobył się na uśmiech. – Och.

Nie był pewien, czego oczekiwać. Czy wycofania, pasującego do panieńskiego rumieńca, czy wyraźnej odmowy. Z pewnością nie spodziewał się tego, że ona szepnie „czas najwyższy”, ani że zacznie obsypywać delikatnymi pocałunkami wrażliwe miejsce, gdzie kończy się szczęka, a zaczyna szyja.

Skąd ona wiedziała, jak go rozpalić?

Wrócił do poprzedniego tempa marszu. Zobaczył wąską ścieżkę, prowadzącą na zbocze i zaczął się nią wspinać. Adrenalina widocznie wciąż działała, bo nie czuł zmęczenia; wydawało mu się, że może tak iść bez końca. Miał jednak inny plan, jak spalić nadmiar energii.

Szlak stał się płaski, dochodząc do małej polanki z niezwykłym widokiem na południu. Maleńki zagajnik z drzew o szerokich liściach w kształcie wachlarzy tworzył nad głowami baldachim, a uniesiony skraj polanki, pokryty grubym mchem, stanowił cudowne schronienie.

Dominic instynktownie wyczuł, że to jest to miejsce. Jeszcze kilka kroków i był na miejscu. Przykląkł, ułożył Lilah na mchu i, podpierając się ręką, znalazł się nad nią. Poczul, że przeszedł ją dreszcz. Znów zrobiła coś nieoczekiwanego. Wsunęła swoje biodra dokładnie pod niego i kręciła się pod nim tak, że mało nie stracił głowy z wrażenia.

– Och, Nicky – szeptała, ocierając się o niego jak kotka. – Tak za tobą tęskniłam.

Wiedział, że teraz już tylko wybuch wojny atomowej, a może i to nie, byłby w stanie go powstrzymać. Nachylił się i pocałował ją.

Lilah rozchyliła wargi i napawała się tym pocałunkiem. Smakował tak, jak powinien smakować mężczyzna, pomyślała. Seksem, gorącem i siłą, na której kobieta może polegać. Jego usta były ciepłe i twarde, jak reszta jego muskularnego ciała. Czuli się pod nim jednocześnie bezpieczna, jak otoczona solidną skałą, i bezbronna.

On jęknął i uniósł się nieco na dłoniach i oparł biodra o jej uda. Wygięła się, żeby być bliżej niego, wsunęła palce w jego włosy, żeby go przyciągnąć. Chciała czuć całe jego ciało, chciała czuć go w sobie.

Równie dobrze mogła próbować ruszyć skałę. Uparł się, ograniczając ich kontakt do gorącego połączenia ust i przyciskania bioder w ubraniu. Powoli doprowadzał ją do pasji. Jej pragnienie rosło coraz bardziej, ale z drugiej strony cieszyła się z narastającego w niej oczekiwania.

Od bardzo dawna tak się nie czuła, ale pocieszające było to, że jej rosnące pożądanie nie było jednostronne. Przekonała się o tym, gdy Dominic uniósł głowę, by wziąć oddech i słyszała jego sapanie.

Bardzo dobrze, pomyślała. Przez ostatnie tygodnie zastanawiała się nad tym, ile życia zmarnowała, nie idąc za tym, czego naprawdę pragnie. Dopiero co widziała, jak łatwo można życie stracić.

– Koniec – powiedziała zadyszczonym głosem. Schwyciła jego koszulkę i wyciągnęła ze spodni. Wsunęła ręce pod wilgotną bawełnę, nie przestając mrużyć z zadowolenia, gdy dotykała dłońmi napiętych mięśni jego podbrzusza.

– Koniec czego? – zazgrzytał zębami, gdy przeciągała mu koszulkę przez głowę.

– Koniec czekania – oznajmiła. Gdy tylko zsunął koszulkę z ramion, przyłożyła policzek do jego nagiej piersi. – Chcę cię. Teraz. – Nachyliła głowę i przywarła ustami do jego brodawki.

– O, kurczę. – Usiadł, a w jego zielonych oczach błyskały iskierki zdumienia. – Nie żartujesz?

Pokręciła głową. – Nie.

Patrzył na nią przez niekończącą się sekundę. Potem nagle coś w jego twarzy się zmieniło i wyglądał trochę bardziej twardo, bardziej, chociaż to niemożliwe, męsko.

– Więc dobrze – wymamrotał.

Zerwał się na równe nogi i stanął między jej stopami. Cofnął się o krok, rozsznurował i zdjął buty, ściągnął spodnie i kopnął dalej.

Lilah była tak oszołomiona urodą jego nagiego ciała nad sobą, że zapomniała oddychać. Burza minęła równie szybko jak nadeszła, i wyszło znów słońce. Promienie prześwitywały przez parujące drzewa, malując na szerokich ramionach Dominica złote plamki.

Miał posturę żołnierza. Długie nogi były dobrze umięśnione, uda masywne. Odruchowo zacisnął dłonie, śledząc wzrokiem trakt, jaki właśnie wyznaczyła, przeciągając palcem od nasady szyi, przez klatkę piersiową i umięśniony płaski brzuch.

Z podziwem i współczuciem patrzyła na ślady jego służby: cienką, ukośną bliznę na ramieniu, drugą, szerszą, która rozpoczynała się pod ostatnim żebrzem i ginęła po prawej stronie, i najnowszy, jeszcze lekko różowy i ściągnięty ślad na jego lewym boku.

A potem jej wzrok zatrzymał się na wąskim szlaczku kruczoczarnych włosów, rozpoczynającym się poniżej płaskiego wgłębienia pępka i schodzącego w dół do gęstwiny sięgającej ud. Ze swobodą, która jej zdaniem charakteryzowała tylko gatunek męski, stał spokojnie i pozwalał na siebie patrzeć. W końcu jednak jego głos przerwał te obserwacje.

– Lilah?

– Co? – uniosła wzrok, czując, że robi jej się słabo.

– Oddychaj, mała – powiedział czule. – Oddychaj głęboko, bo zemdlejesz.

Poczuła, że rzeczywiście jej to grozi.

– Masz rację. – Przymknęła oczy, nie zdając sobie sprawy z tego, że odruchowo ścisnęła uda, żeby zmniejszyć narastające napięcie, kiedy poczuła jego dłoń w tym miejscu.

Otworzyła natychmiast oczy i zauważyła, że Dominic klęczy obok niej.

– Spokojnie – mówił łagodnym głosem, powoli przesuwał palce, aż świat wokół niej zaczął się kręcić. Podsunął rękę pod jej plecy, uniósł ją i szybko zdjął jej bluzkę i biustonosz.

– Niedługo – powtórzył to, co mówił godzinę, całe życie temu. Jego usta jak gorący płyn przesuwały się po jej szyi, a ręce błyskawicznie zdejmowały z niej sandaalki, spodnie i majtki.

– Niedługo – powtarzał. – Jeszcze. Nie. Teraz. – Słowa przedzielone były pocałunkami, gdy głowa zsuwała się coraz niżej, aż jego usta przywarły do sutka.

– Dominic. – Wplotła palce w jego wciąż wilgotne włosy, rozkoszując się ich aksamitnym dotykiem.

Uniósł głowę na moment, żeby objąć dłonią jej drugą pierś, a potem przyłożył do niej usta.

Lilah mocno przycisnęła jego twarde ramiona i wygięła się pod nim, jęcząc bezwstydnie. Jego ręka rozpoczęła wędrówkę poprzez ciemnoblond loczki, a palce napotykały coraz gładsze i wilgotniejsze miejsce.

– Jesteś gładka jak jedwab – jęknął ochrypłym głosem.

Miała wrażenie, że on ma w dłoniach specjalny aparat rentgenowski, żeby bezbłędnie trafić od razu w jej najczulszy punkt.

– Dominic. – Z największym wysiłkiem ujęła jego brodę w ręce i podniosła jego twarz.

Uniósł ciężkie powieki, żeby na nią spojrzeć.

– Co? – spytał takim głosem, że po plecach przeszedł ją dreszcz oczekiwania.

– Tylko... to – szepnęła.

Przysunęła się i przeciągnęła językiem po jego wargach, a później przechyliła głowę i pocałowała go mocno i głęboko. Nie mogła już wyrazić swoich pragnień lepiej, choćby przysłała mu pięknie wykaligrafowane zaproszenie. Jednak gdy otworzyła oczy, wciąż widziała go nad sobą z trudną do odcyfrowania miną. Może wszystko zepsuła? Może go zniechęciła do siebie przez swoje zdecydowanie? W końcu nie była już tą dziewczyną co kiedyś. Była kobietą, dziesięć lat starszą, która po raz pierwszy w życiu nie bała się prosić o to, czego chce.

Nie miała zamiaru pozwalać wciąż innym na podejmowanie inicjatywy. Nie będzie patrzyła z boku na to, co dzieje się z jej życiem. Więc co teraz? Wytrzymała jego wzrok.

– Chcę cię czuć w środku, wewnątrz mnie, proszę. Dominicu, nie każ mi błagać.

Czekając na jego reakcję, uświadomiła sobie, że zrobiłaby to. Błagałaby, targowała się, wszystko. Minęła sekunda, podczas której nic się działo, po czym wszystko wybuchło, jakby wrzuciła zapalną w siano w suchy, gorący letni dzień.

On zadrżał i rozpalił się.

– Do diabła, Lilah – powiedział przez zęby i w tej sekundzie przywarł do jej ust.

Za moment już obejmował ją ramionami i wchodził w nią, wypełniał, a ona jakby unosiła się w górę i w górę. .. Przywarła do niego biodrami, unosiła je, żeby być jeszcze bliżej, czuć

go jeszcze głębiej. Ścisnęła jego ramiona, wbijała się piętami w jego uda.

Wszystko w nim ją podniecało – gorąco jego skóry pod jej palcami, napięte mięśnie w ramionach, dotyk jego brzucha o jej brzuch. To wszystko wydawało jej się takie prawidłowe, właściwe, tak samo, jak ta dzika, szaleńcza jazda. Chciała, żeby on pragnął jej tak bardzo, jak ona jego.

Tak było.

– Spokojnie – powiedział w jej usta, biorąc oddech. – Spokojnie, maleństwo, nie... o, tak. Nie przestawaj.

Znów poczuła jego usta na swoim sutku i przejął ją następny dreszcz rozkoszy. Czowała, że jest coraz wyżej i wyżej, że zbliża się do szczytu.

– Dominic... Och... Och...

Przywarła do niego z całej siły i poczuła, że nim też wstrząsnął dreszcz. I wszystko inne przestało się liczyć.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Dom leżał na plandece ze swego plecaka, którą rozłożył wcześniej w ostatnich blaskach wieczornego słońca. W zagłębieniu jego ramienia ułożyła głowę Lilah, która spała nieruchomo snem ciężko zmęczonej osoby.

Ma do tego pełne prawo, pomyślał, pocierając policzkiem o jej jedwabiste włosy. Nawet dla niego wczorajszy dzień był męczący, więc nic dziwnego, że ona jest wykończona. Trudno jednak było się nie denerwować z powodu ich wolnego tempa. Gdyby był sam, wędrowałby cały poprzedni dzień i noc i teraz prawdopodobnie byłby już w Santa Marita. Jednak z Lilah, której siły z powodu kiepskiego odżywiania i zamknięcia bez ruchu były nadwątlone, nie było takiej możliwości. Nie miał wyjścia, tylko dostosować tempo ich wędrówki do jej sił. Jego praca to dostosowywanie się do okoliczności, pomyślał. Niestety, w tym wypadku dawało mu to zbyt wiele czasu na myślenie o sprawach, o których wolałby nie myśleć.

Na przykład o tym, dlaczego niewinny dotyk jej uda o jego biodro, ciepło jej oddechu na jego szyi czy ciężar jej piersi na jego piersi, powoduje u niego nieprzerwany stan podniecenia? I na pewno nie musiałby myśleć o tej chwili, gdy na nią spojrzał, wtedy kiedy ją wynosił z wody i poczuł, że coś się w nim przełamało.

Bardzo ją lubi. Nie tylko jako partnerkę do łóżka, chociaż niewątpliwie był to ważny czynnik. Lubił ją jako osobę, jako istotę ludzką. Oczywiście, jeśli liczyć tylko godziny, to nie spędzili razem wiele czasu. Jednak kiedy przeżyje się razem niebezpieczeństwo i ciężkie chwile, szybciej poznaje się człowieka. Teraz wiedział już, że nie była tą rozpieszczoną, samolubną i zarozumiałą snobką, za jaką ją uważał.

Uniósł się, zdenerwowany. Nie tak miało się to wszystko ułożyć. Do diabła, mówiąc szczerze, w ogóle nie brał pod uwagę takiej możliwości, że mógłby ją polubić. Miał nadzieję, że poprzez ten krótki epizod wyleczy się z niej.

Myślał – może nie myślał, bo to nie rozum był zaangażowany w jego decyzje przy tej okazji – wierzył, że jeśli teraz da się ponieść pożądaniu, udowodni sobie raz na zawsze, że we wspomnieniach wyolbrzymiał ich rozkosze z przeszłości i przekonanie, że seks z nią był czymś wyjątkowym. Wierzył, że kiedy się z nią prześpi, będzie mógł ją w swej pamięci odstawić do lamusa, tam gdzie jej miejsce.

A tymczasem marzył, żeby ją obrócić na plecy i znów się w nią zagłębić, a co gorsza, przytulić ją i opowiadać jej o swoich sekretach, obawach, nadziejach.

I to mu się wcale nie podobało. Pamiętał, co przeżył jego ojciec i bracia po śmierci matki. Mógł mieć wtedy dziewięć lat, ale widział i czuł pustkę, jaką po sobie zostawiła. Wyciągnął z tego nauczkę: nie należy do nikogo się przywiązywać. A jednak z młodocianym optymizmem i beztroską pozwolił sobie wiele lat później na zakochanie się w Lilah. Później ona go zostawiła.

Bolało. Prawdę mówiąc, dotąd nie jest pewien, ile z powodu miłości, a ile urażonej dumy. Teraz nie miało to już znaczenia, bo ostatecznie oddała mu przysługę. Zaczął się poważnie zastanawiać nad sobą i nad tym, czego chce w życiu. Doszedł do wniosku, że takie

angażowanie się uczuciowe nie ma sensu, bo w przypadku utraty ukochanej osoby powstaje olbrzymia pustka w życiu. Znacznie lepiej zdać się tylko na siebie, no, w niektórych przypadkach na braci czy kompanów z SEAL.

I nic się nie zmieniło. To, co zaszło między nimi, było tylko epizodem. W dalszym ciągu jego głównym zadaniem pozostawało wydostanie Lilah z San Timoteo i dostarczenie do babci, do bezpiecznego, wygodnego życia.

– Dominic? – usłyszał za sobą cichy głos Lilah. – Nie śpisz? – Przysunęła się do niego. – Zastanawiałam się, jak mamy się wydostać z wyspy. – Przewróciła się na bok i oparła na łokciu, żeby go lepiej widzieć. Drugą ręką gładziła delikatną skórę za jego uchem.

– Najprawdopodobniej ktoś przyjedzie nas zabrać – odpowiedział, znów pod wpływem jej dotyku, czując bolesne pożądanie. – Będę to wiedział na pewno, kiedy dotrzemy do Santa Marita i będę mógł skontaktować się z domem.

– Jedziemy do stolicy? – Była wyraźnie zaniepokojona.

– Oczywiście. – Ogarnęło go bardzo przyjemne uczucie, kiedy jej ręka powędrowała wzdłuż jego szyi, poprzez obojczyk, aż do ramienia. – Zawsze najciemniej jest pod latarnią. Zresztą to jedyne miejsce na całej wyspie, gdzie można znaleźć dostatecznie szybką łódź, albo jeszcze lepiej samolot, który nam pozwoli uciec.

Zatrzymała rękę.

– Samolot? – spytała z powątpiewaniem. – A co z pilotem?

– Patrzysz na niego.

– Umiesz pilotować samolot?

Jej ręka i smukłe udo obejmujące jego nogę utrudniały koncentrację.

– Częścią mojego treningu była nauka prowadzenia wszystkiego, co ma silnik i porusza się.

– Naprawdę? – Wpatrywała się w niego, a jej dłoń zacisnęła się teraz na jego twardej męskości.

– Taa. – Nie mógł już mówić i nie mógł myśleć. Na moment chciał ją powstrzymać, ale do świtu było jeszcze kilka godzin i musiałby siedzieć sam ze swymi myślami.

– Masz jeszcze jakieś ukryte talenty? – spytała. Poczł nieprzewartą chęć, żeby znaleźć się głęboko w niej.

– Może byś tak przyszła tutaj – wyciągnął rękę, schwycił ją za biodra i usadził na sobie – to ci pokażę?

Zaśmiała się bardzo seksownym śmiechem.

– Nie sądzę. Myślę, że teraz moja kolej, żeby... rządzić.

Nim się zorientował, oparła się na kolanach i usadowiła się na nim tak, jak jej odpowiadało.

– Li, ty mnie wykończysz – wymamrotał.

– Przynajmniej nie umrzesz samotnie – mruknęła, wyznaczając sama rytm swoich ruchów. – Musisz przyznać, że są mniej przyjemne sposoby zejścia.

Przymknął oczy i przez następne minuty starał się tylko powstrzymać ten przyływ, który mógłby go zmieść.

W końcu ona przestała się kontrolować.

– Dominic! O, jak cię czuję!

Otworzył oczy i spojrzał na nią. W świetle księżyca wyglądała oszalamiająco. Miała zamknięte oczy, jej jasne włosy tworzyły jakby złotą pelerynę, a cienka warstewka potu na skórze dawała bajkowy połysk. Czuł się jak w jakimś wirze, który go wciągnął i poza jego kontrolą doprowadza do spełnienia. Objął dłońmi jej smukłą talię i nic się już nie liczyło, gdy poczuł rozkosz, jakiej jeszcze nigdy nie zaznał.

Dom skończył właśnie pakować ich rzeczy, gdy usłyszał z daleka charakterystyczny terkot helikoptera. Wygrzebał się na skraj polanki i wkładając koszulę w spodnie zmrzążył oczy przed słońcem i w końcu zauważył coś srebrnego nad wierzchołkami drzew. Helikopter był znacznie bliżej, niż się spodziewał i wystarczyło jedno spojrzenie, żeby zidentyfikować model i flagę San Timoteo wymalowaną na ogonie.

– Wracaj – polecił Lilah, gdy zobaczył, że idzie w jego stronę.

Podskoczył, wziął ją pod ramię i skulili się w cieniu, za najgrubszym drzewem.

Po dziesięciu sekundach wielki metalowy ptak przeleciał wprost nad ich głowami. Lilah przytuliła się do niego, a on odruchowo ją objął.

– Myślisz, że to nas szukają? – spytała, gdy ryk silnika trochę się oddalił i było ją słychać.

Dominic zdał sobie sprawę z tego, że gdyby opuścili swoje obozowisko pięć minut wcześniej, byłiby widoczni ze śmigłowca na odkrytym terenie.

– Nie, to prawdopodobnie jakiś transportowiec. Zanim coś zjemy i zwiniemy wszystko, powinni już być daleko...

Przerwał, gdy usłyszał, że ryczący potwór zawraca. Co jest, do diabła? Wiedział doskonale, że nie mogli zostać zauważeni z powietrza, a instynkt mu podpowiadał, że i na lądzie nie było w pobliżu nikogo, kto przekazałby ich miejsce pobytu. Co oznaczało, że helikopter po prostu wykonuje lot przewidzianą trasą.

Dom chciał się mylić, ale kiedy śmigłowiec poleciał na wschód, a po chwili znów przeleciał nad nimi, przestał mieć wątpliwości. Zwrócił się do Lilah.

– Możesz mi powiedzieć, co tu jest grane?

– O co ci chodzi?

Trochę mu ulżyło, gdy zobaczył autentyczne zdumienie na jej twarzy.

– Zastanawiałem się, jaki był układ, kiedy usłyszałem, że El Presidente wciąż podwyższa sumę okupu za ciebie. Zwykle tak nie działa. A później, gdy już przyleciałem, dowiedziałem się, że zamiast w Santa Marita, jak każdego zatrzymanego, ciebie uwięzili w Las Rocas. A teraz to. Condesta nie wysłałby tego, co zapewne stanowi całą flotę powietrzną San Timoteo, bez powodu. Czy powiesz mi, o co chodzi? Czy ma to coś wspólnego z facetem, z którym byłaś?

Lilah spojrzała na niego nic nierozumiejącym wzrokiem.

– Facetem? – powtórzyła. – Dlaczego uważasz, że byłam z mężczyzną?

– Twoja babcia tak mówiła.

– Naprawdę? – Nagle twarz jej się rozjaśniła. – Ach, miała na myśli Diego.

– Chyba tak. – Spojrzał jej w oczy.

– Diego jest słodki, jak na dwunastolatka!

– To dziecko?

– Tak. Byłam gościem jego rodziny na uroczystościach Cinco de Mayo na rynku. Wszystko wymknęło się spod kontroli, pojawiła się straż i w tym zamęcie zostaliśmy rozdzieleni. Kiedy się zorientowałam, trzymał go policjant. Próbowałam wyjaśnić, że chłopiec nie miał nic wspólnego z zamieszkami, ale nie chcieli mnie słuchać. Policjant uderzył Diego – na samo wspomnienie w jej głosie pojawiło się obrzydzenie – ja się sprzeciwiłam i wynikła awantura. Diego się wyrwał, a ja zostałam aresztowana.

Pięknie. Diego był ofiarą, Lilah świętą, a on był idiotą. Zazdrosnym idiotą. To odkrycie nie poprawiło mu humoru.

– A helikopter? Masz jakieś pojęcie, o co tu chodzi? Zaciśnęła wargi.

– Czy babcia ci nie mówiła, dlaczego tu przyjechałam? – spytała po chwili, kiedy zarzucił sobie plecak i ruszyli.

Skinął głową, rozejrzał się dookoła i wybrał ścieżkę prowadzącą na południowy zachód.

– Zrozumiałem, że przyjechałaś w sprawie pieniędzy na jakąś szkołę.

– Najwidoczniej ci nie powiedziała, że mam magisterium z finansów międzynarodowych. I że przez ostatnie dwa lata prowadziłam Fundację Ansonów, której kapitał wynosi pół miliarda dolarów. Zapewniamy pomoc edukacyjną dla dzieci z trzydziestu siedmiu krajów. Tutejsza szkoła jest dobra, warto ją dofinansować, ale rząd komplikuje sytuację. Zabawa polega na tym, żeby znaleźć sposób, jak pomóc, a nie napychać kieszeni niektórym ludziom. Dlatego przyjechałam tu osobiście. Załatwiałam już podobną sprawę w Afryce Wschodniej, więc myślałam, że i tu pomogę. Okazało się, że się nie da, a kiedy powiedziałam El Presidente, że wobec tego nie będzie żadnych pieniędzy, był wściekły. – Zamilkła na chwilę, gdy pomagał jej przejść przez olbrzymią kłodę. – Wszystko potoczyło się błyskawicznie – opowiadała dalej, kiedy pokonali przeszkodę. – Prosto ze spotkania z nim poszłam spotkać się z rodziną Diego, a potem już byłam aresztowana. Nawet nie miałam czasu zadzwonić do domu i poinformować, że postanowiłam jednak przekazać pieniądze.

Teraz Dom zaczynał rozumieć. Condesta chciał położyć łapę na pieniądzach Ansonów, tak czy inaczej.

– Nie podejrzewasz, dlaczego podnosił stawkę, im dłużej cię trzymał?

– Naprawdę? – Tak.

– Nie mam pojęcia, chyba, że ... Obejrzał się na nią.

– Chyba, że co?

– Przypuszczam, że może żal mu jego mercedesa.

– Jego mercedesa?

– Tak. – Westchnęła przepaszająco. – Rozbiłam go.

Chyba nie przyjął tego za dobrze. Następnego dnia zostałam przewieziona do Las Rocas.

– Lilah, o czym ty, do diabła, mówisz?

– Zaraz jak zostałam zatrzymana w Santa Marita, próbowałam uciec. Pewnie dlatego podwyższyli okup – powiedziała w zamyśleniu. – Condesta uwielbia słuchać swojego własnego głosu, więc jak zostałam złapana po raz drugi...

– Drugi raz?

– ... przyszedł mnie pouczać na temat mojego złego zachowania. A ponieważ uważany jest za uwodziciela, a zwłaszcza lubi blondynki, starał się zaimponować mi, obwożąc mnie po swojej nowej, prywatnej przystani, gdzie trzyma swoje jachty, motorówki i swój nowiutki hydroplan. Nie przyszło mu do głowy, że w jego kraju, gdzie większość nie ma co jeść, uznam to za bezduszne. – Machnęła ręką, jakby to nie było ważne. – Kiedy dotarliśmy do końca kompleksu budynków, w którym mnie więziono, kierowca pomógł jego ekscelencji wyjść z samochodu, bo El Presidente nie chodzi pieszo nigdzie, gdzie da się dojechać, i obchodził samochód, żeby otworzyć mi drzwi. Wtedy się zorientowałam, że silnik pracuje i... straciłam głowę.

Dom uniósł brew.

– Aż się boję zapytać.

– Nic takiego. Przesunęłam się na miejsce kierowcy, wrzuciłam bieg i ruszyłam do wjazdu. Mercedes poradził sobie z barierką i pewnie dalej by mi się udało, gdyby nie pojawiła się nagle kobieta na rowerze i musiałam nagle skręcić. Straciłam panowanie i – odetchnęła i wzruszyła ramionami – to był koniec mercedesa. – Dominic patrzył na nią, a ona się zarumieniła i odwróciła wzrok. – Wiem, że to było głupie, ale Condesta powiedział, że babcia odmówiła zapłaty okupu. Ponieważ nie zgadzała się na ten mój wyjazd, więc pomyślałam... Pomyliłam się. – Przygryzła wargę.

– Nie uważasz, że należało mi przedtem o tym powiedzieć?

Uniosła głowę.

– Powiedziała, a właściwie próbowałam, w Las Rocas, kiedy pytałeś o sińce. Pamiętasz? Zaczęłam, ale ty...

Przerwał jej. Teraz pamiętał dokładnie, jak mówiła coś niepewnie o wypadku samochodowym. A on nastawiony był tylko na to, czy ktoś jej nie zgwałcił.

Położyła mu rękę na ramieniu.

– Nie gniewaj się, ale nie sądziłam, że to takie ważne. Było mi wstyd, że zrobiłam coś tak głupiego, bo przecież nie miałam pomysłu, co dalej, a w tym samochodzie z chorągiewkami – zachichotała – byłabym łatwym celem do schwytania.

Dom nagle uświadomił sobie, że sam się oszukiwał. Jest wprawdzie facetem, który nie ma zamiaru się ustatkować, ale z drugiej strony, trudno go nazwać harcerzykiem. Szanse, że odtąd, aż do powrotu do Denver, będzie się trzymał od Lilah z daleka, były żadne. Może się przestać oszukiwać i jak najlepiej wykorzystać czas, jaki im jeszcze pozostał razem. W końcu nie ma zamiaru ofiarować jej swego serca.

Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, jutro powinni opuścić San Timoteo.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Nie będę długo – powiedział łagodnie Dominic, kładąc ręce na jej ramiona. – Czekaj tutaj, nie pokazuj się, ja niedługo wrócę. Dobrze?

Zatrzymali się po kilkugodzinnym marszu i stali teraz na wzgórzu, powyżej wąskiej drogi, ukryci przed wzrokiem ciekawskich dzięki wzniesieniu i gęstej roślinności, która była jednocześnie przekleństwem i błogosławieństwem.

W dole, jakiś niecały kilometr od nich, stało kilka chat. Mała wioska była pierwszą oznaką cywilizacji, jaką napotkali od ucieczki z Las Rocas. Gdyby Lilah miała prawo wyboru, najchętniej ominęłaby ją szerokim łukiem.

Dominic miał inny plan i chciał zorganizować im jakiś zmotoryzowany transport.

– Dobrze? – powtórzył.

Pokręciła głową uznając, że nic się nie traci, będąc szczerą.

– Nie. Niedobrze. Co będzie, jeżeli coś się nie uda?

– Wszystko się uda.

– Ale jeżeli nie? – upierała się. Powinna się cieszyć, że będzie miała szansę odpocząć. Rozpoczęła od pływania, kilka dni maszerowała, omal nie utonęła, a dwie noce zamiast na spaniu, upłynęły jej głównie na seksie, więc była piekielnie zmęczona. A jednak nie chciała, żeby poszedł. – Nie możesz po prostu ukraść samochodu i myśleć, że nikt nie zauważy.

– Nie mam zamiaru nic kraść – uspokajał cierpliwie. – Mam zamiar kupić za twardą amerykańską walutę i to zapewne kilka razy drożej, niż będzie wart. Sprzedający będzie nie tylko szczęśliwy, ale nie będzie też chętny do dzielenia się informacją o swoim szczęściu z nikim, na przykład z policją albo służbami Condesty, które nas poszukują. Wierz mi, będzie dobrze. Pokręciła głową.

– A jeżeli nie będzie?

– Jeżeli nie będzie mnie do południa, wyrzuc z plecaka wszystko, co nie jest niezbędne i idź tą drogą w kierunku Santa Marita. Mamy jakieś pięćdziesiąt kilometrów. Trudne, ale jak już tam dotrzesz...

– Dominic – powiedziała, przerażona. – Przestań. Zdziwiła się, gdy zamilkł.

– Co?

– Pójdzie bez ciebie nie wchodzi w grę. Powiedz mi lepiej, jak mogę pomóc, gdyby były problemy.

– Zrobiłabyś to? Poszła za mną?

– Oczywiście.

Na chwilę rysy mu złagodniały, ale się wziął w garść.

– Dobrze, że nie będziesz musiała.

– Niech cię diabli... Uniósł rękę, żeby ją uciszyć.

– Posłuchaj mnie, Lilah. Czy potrafiłabyś wziąć do ręki nóż i podciąć komuś gardło? Albo zastrzelić kogoś, bo jego jedynym błędem było to, że kazali mu mnie pilnować? – Musiał zauważyć niepewność na jej twarzy. – Tak myślałem. Problem polega na tym, że jeśli

coś się stanie, to albo nie da się mnie uratować, albo ofiarujemy El Presidente dwóch zakładników, zamiast jednego. Więc dla naszego dobra, jeśli nie wrócę do południa, musisz dotrzeć do Santa Marita i zadzwonić pod numer, który ci dałem. Ktokolwiek go odbierze, przekaże wiadomość do Gabe'a, a on wszystkim się zajmie. Okej?

Skinęła głową na zgodę, nie dlatego, że obawiała się o własne bezpieczeństwo, ale za nic w świecie nie chciała narażać jego.

– Okej.

– Grzeczna dziewczynka.

Na jego twarzy pojawił się wyraz aprobaty. Rzadko ją to spotykało w życiu, więc rozkoszowała się tą chwilą. Potrząsnęła włosami i z udawaną wyższością spytała:

– Jak mnie nazwałś?

– W porządku, cofam. Powiedzmy, że powiedziałem „mądra kobieta”, albo „godna podziwu dorosła osoba”, albo coś równie idiotycznego i poprawnego politycznie.

Zaśmiała się.

– Godna podziwu dorosła osoba? Chyba żartujesz. W jego oczach pojawił się uśmiech i nie mógł już się dłużej powstrzymać. Wziął w dłonie jej twarz, przechylił lekko głowę, pocałował najpierw kąciki jej ust, a później złożył na jej wargach mocny pocałunek.

A ona w tym momencie wiedziała, że zrobi wszystko, żeby on był bezpieczny. Był jej słońcem, księżycem, gwiazdami, jej sercem. Bez niego jutro nie miało znaczenia. Kochała go.

Uniósł głowę i pogłaskał ją po policzku, nim się od niej oderwał.

– Lepiej pójde, póki jeszcze jestem w stanie.

Nim cokolwiek odpowiedziała, cofnął się i w tym momencie jej czuły i wymagający kochanek zmienił się w skupionego wojownika.

– Bądź grzeczna, księżniczko – mruknął, znikając w zaroślach.

Stała przez chwilę bez ruchu, przepelniona poczuciem straty, walcząc z sobą, żeby nie zawołać go z powrotem. Serce zaczęło jej bić, gdy uświadomiła sobie rozmiar swego uczucia. Właściwie była zadowolona, że została sama i może wszystko przemyśleć.

Kocham go. Z trudem dotarła do najbliższego drzewa i siadła na ziemi, opierając się o jego pień. Kocha Dominica. Było to tak oczywiste, że aż dziwne, że wcześniej na to nie wpadła. Tłumaczył ją tylko fakt, że tak wiele wydarzyło się w tak krótkim czasie. Poczuli się, jakby nagle opadły jej klapki z oczu. Teraz już wiedziała, że nie chciała go puścić częściowo dlatego, że była egoistką i chciała go mieć przy sobie, ale również dlatego, że bała się o niego.

Wiedziała, że Dominic ma rację. Do Santa Marita było jeszcze około pięćdziesięciu kilometrów. Piesza wędrowka zabrałaby im jeszcze kilka dni, a samochodem niewiele ponad godzinę. Mogą wydostać się z tego kraju i być w drodze do domu jeszcze dzisiejszego wieczoru. A co potem? Dręczyło ją to pytanie. Nie uszło jej uwagi, że chociaż Dominic nie mógł się nią nasycić fizycznie, nie padła z jego ust żadna deklaracja miłości. Nie mówił też nic na temat wspólnej przyszłości. Ona też wprawdzie nie powiedziała nic takiego, ale obawiała się, że jeśli mu powie, że chce z nim być na zawsze, jego odpowiedź ją rozczaruje.

A czy nie z tego samego powodu zakończyła wszystko, co między nimi było kiedyś? A później tego żałowała. Zaciśnęła powieki, przypominając sobie, co czuła tamtego letniego

wieczoru, kiedy wszystko między nimi się popsuło.

Było to na dzień przed spodziewanym powrotem babci, niecały tydzień przed powrotem Lilah na studia do Kalifornii. Spędzali z Dominikiem namiętne chwile nad basenem, leniwie opalając się w gorącym popołudniowym słońcu lub chłodząc w zimnej wodzie. Całowali się, śmiali i próbowali, kto kogo pierwszy doprowadzi do stanu, w którym nie można już było się opanować.

Jednak pod jej radosnym uśmiechem skrywało się uczucie desperacji. Lilah nigdy przedtem nie była zakochana. Nigdy przedtem nie pozwoliła nikomu tak się zbliżyć, ani fizycznie, ani w inny sposób. Przerażała ją intensywność własnych uczuć. Zawsze była wychowywana tak, żeby nie poddawać się namiętnościom, a teraz to robiła. Nagle wyobraziła sobie oczekiwania babci wobec niej i to, że niedługo będzie musiała opuścić Denver. Albo Dominic o tym zapomniał, albo go to nic nie obchodziło. Próbowwała kilkakrotnie w ciągu tego popołudnia poruszyć tę kwestię, ale on zmieniał temat, żartował albo ją całował. Kiedy podnieceni do granic wytrzymałości wycofali się do domku nad basenem, Lilah czuła się urażona i niepewna.

Po raz pierwszy kochali się w takim pośpiechu, że jeszcze przy wejściu Dom zdejmował swoje kąpielówki i rozwiązywał sznureczki od jej bikini. Jak nieprzytomny, posadził ją na stołku barowym, a ona bała się, że zemdleje z samej rozkoszy dotykania go, tej opalonej skóry i mięśni twardych jak kamień.

Gdy Lilah w końcu oprzytomniała, zauważyła, że na zewnątrz już się ściemnia, co zupełnie niepotrzebnie jej przypomniało, że lato przechodzi w jesień.

– Wyjeżdżam we wtorek.

Nie chciała tego powiedzieć, słowa same wypłynęły z jej ust. Pragnęła, żeby jej powiedział, jak bardzo mu na niej zależy i jej wyjazd niczego w jego uczuciach nie zmieni. Poczowała na moment, że uścisk jego ramion stał się mocniejszy, po czym odsunął się i wstał.

– No, taaa, to myślę, że jak twoja babcia wraca, nie będziesz potrzebowała, żeby cię odwoził na lotnisko – powiedział z nonszalanckim uśmiechem.

Poczowała, jakby jej ktoś wbił sztylet w samo serce. Nie chciała zrezygnować. Zerwała się i owinęła dużym ręcznikiem, który położyli na szezlongu.

– Mogę przyjechać do domu na Święto Dziękczynienia, jeżeli chcesz.

Wciągał właśnie spodenki kąpielowe i spojrzał na nią.

– Nie musisz mi robić żadnych uprzejmości. – Zajął się tasiemką przy swoich kąpielówkach i wzruszył ramionami. – Nawet nie wiem, czy tu będę.

– Co? – Ogarnęła ją panika. – A dokąd byś pojechał? Nie wiadomo dlaczego liczyła, że on tu będzie na nią czekał.

– Jeszcze nie zdecydowałem, ale czesne wzrasta w tutejszym college’u, a w zeszłym tygodniu wywalili mnie z warsztatu samochodowego, więc... – Oparł się o bar, skrzyżował ręce na opalonych piersiach i znów wzruszył ramionami. – Jestem właściwie wolny i mogę jechać, dokąd chcę i kiedy chcę.

Wiadomość o tym, że stracił najlepsze ze swoich trzech miejsc pracy i nic jej o tym nie powiedział, pogłębiła przepaść między nimi. Lilah wypaliła bez zastanowienia.

– Mam swoje pieniądze. Mogę ci zapłacić chesne albo jeszcze lepiej – przyszło jej nagle do głowy – mógłbyś przyjechać na studia do Kalifornii. Chyba nie stać by mnie było na chesne w Stanford, ale na pewno można znaleźć inne dobre uczelnie. Moglibyśmy poszukać ci mieszkania w pobliżu mojego akademika... – Umilkła, bo patrząc na jego minę, zdała sobie sprawę z tego, że popełniła fatalny nietakt.

– A co by to niby miało być? – spytał ironicznym tonem. – Pożyczka? Coś, co musiałbym spłacać, chodząc z tobą do łóżka?

– Nie! Oczywiście, że nie...

Jego spojrzenie stawało się coraz bardziej obce.

– Wobec tego byłbym pewnie twoim osobistym przypadkiem działalności charytatywnej. Proszę, nie tylko miałabyś własnego chłopca do zabawy, ale może jeszcze mogłabyś mnie odliczyć od podatku.

Wszystko szło nie tak, jak powinno, pomyślała i zaczynała już powoli wpadać w złość.

– Przepraszam – odpowiedziała chłodno, z ogromnym poczuciem zdrady. – Przepraszam, jeżeli cię uraziłam. Po prostu chciałam pomóc.

– Nie potrzebuję twojej pomocy. A na pewno nie chcę twoich cholernych pieniędzy.

– Wiem. Wyraziłeś się zupełnie jasno.

A wtedy, ponieważ on był tak okropnie pewny siebie, a ona tak bardzo chciała cofnąć czas, choćby o te dziesięć minut, kiedy jeszcze byli sobie tak bliscy, zrobiła coś, czego uczono ją od wczesnego dzieciństwa. Świadomie odsunęła od siebie to, czego najbardziej pragnęła.

– Myślę, że wobec tego najlepiej będzie, jeśli sobie pójdziesz.

Otrząsnął się, jakby go uderzyła i przez moment sądziła, że nie jest aż tak opanowany, za jakiego chciał uchodzić. Zaraz jednak na jego twarzy pojawił się taki wyraz obojętności, że przestała się łudzić. Po raz ostatni wzruszył ramionami.

– Twoja strata, księżniczko.

Najwyraźniej powiedział wszystko, co zamierzał i odszedł z domku nad basenem i z jej życia. A ona stała i pozwalała na to.

Pracowity warkot nadjeżdżającego pojazdu wyrwał ją z tych wspomnień. Starła się opanować emocje. Przeżywała tamtą scenę wielokrotnie w ciągu ostatnich lat i za każdym razem nie mogła sobie darować swojej bierności. Wybaczała jednak młodości swojej i Dorna, która sprawiła, że poruszali się na oślep, bez planu i kierunku. Nawet gdyby wtedy pokonali przeszkody, które zaistniałyby na ich drodze, jak opory babci, dzieląca ich odległość i różnica w sytuacji finansowej, byli po prostu zbyt młodzi.

Odsunęła od siebie te myśli, wstała i przedarła się przez gęstą zasłonę krzewów, żeby zerknąć na drogę poniżej. Pojawił się na niej stareńki pikap, za którym ciągnęła się smuga czarnego dymu. Gruchot był tak zardzewiały, że trudno było się dopatrzyć oryginalnego koloru. W okienku zobaczyła twarz Dominica. Uśmiechnął się i uniósł jedną czarną brew.

– No i co? Jedziesz czy nie?

Odetchnęła z ulgą. Nic mu się nie stało. Poczowała się tak lekko, że podbiegła po plecak.

Może i kochała go jako nastolatka, myślała, zarzucając plecak na ramiona, ale była wtedy

bardzo młoda i nie rozumiała samej siebie. Teraz dopiero mogła ocenić całą głębię swoich obecnych uczuć.

Los, szczęście albo życie dały jej drugą szansę. Jeśli teraz się nie uda, nie będzie miała sobie nic do wyrzucenia. Kiedy tylko nadarzy się okazja, powie mu prawdę. A na razie on był bezpieczny i wciąż byli razem, i to musi wystarczyć.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Pastelowe budynki Santa Marita nabierały srebrnego odcienia, a ciemnoniebieskie niebo stawało się czarne, gdy wtoczyli się wieczorem do miasta tym wrakiem samochodu.

Wtoczyli było i tak określeniem na wyrost, pomyślał z goryczą Dom. Raczej przykuśtykali albo doczłapali. Było to niezwykle trudne pięćdziesiąt kilometrów. Chłodnica się przegrzała, ssanie się zapchało, złapali jedną gumę, zapasowa opona też była prawie nie do użycia, a prowizoryczny filtr powietrza musiał zrobić z kawałka bluzki Lilah. Do tego droga była tak wąska, że gdy spotykało się pojazd jadący z naprzeciwka, jeden musiał się cofnąć, póki nie napotkał szerszego miejsca do wyminięcia. W dodatku z powodu dnia targowego, jaki przypadał nazajutrz w Santa Marita, musieli przepychać się przez beczące stada kóz. Nie chciałby już nigdy powtarzać takiej podróży.

Jedyną dobrą rzeczą, jaką można o niej powiedzieć, to fakt, że Lilah nareszcie mogła trochę odpocząć, pomyślał, patrząc na jasnozłotą głowę, opartą o jego udo.

Zasłużyła na ten odpoczynek. Nie mając żadnego treningu, okazała się fantastycznym podróżnikiem. Robiła wszystko, co jej kazał, nie narzekała na skromne racje żywnościowe, bolące stopy, na brud, upał i zmęczenie, chociaż doświadczyła wszystkiego. Nie wpadła w histerię, kiedy musiała iść w krzaczki i spadł na nią z drzewa boa dusiciel.

Nie mógł się powstrzymać i pogładził delikatnie jej jedwabisty policzek. Mruknęła przez sen i ułożyła sobie jego dłoń na bluzce, między piersiami. Na jego ustach pojawił się zmęczony uśmiech. Nawet przez sen przybliżyła go do zawału serca. Szkoda, że ich wspólny czas się kończył...

Nie wiadomo, czy z powodu intymnego nastroju szoferki, czy dającego mu się we znaki braku snu, Dominic nie mógł się skupić. Jakaś część jego umysłu kontrolowała przejazd rozklekotanym autem przez zatłoczoną główną ulicę Santa Marita, wypatrując jednocześnie policji i pilnując trasy do gospody, którą wybrał, a część skupiona była na Lilah i na nim.

Z trudem przyznawał się do tego, ale od kilku godzin ogarniała go melancholia. Wiedział, że zawsze tak było po wykonaniu zadania, zwłaszcza uwolnieniu zakładnika, ale zdawał sobie też sprawę z tego, że w tym przypadku miał cholernie dużo przyjemności.

O, tak należy to ująć. Chociaż, będąc szczerym wobec siebie, należy przyznać, że nie tylko seks był tysiąc razy lepszy, niż cokolwiek, co dotąd przeżył, ale i towarzystwo. A teraz będzie musiał się pożegnać z jednym i drugim.

Wściekał się, że jego zwykle uporządkowany umysł krążył wokół tego samego tematu. Przecież niewiele się zmieniło. On i Lilah wciąż pochodzili z odrębnych światów i chociaż przepaść między nimi trochę się zmniejszyła, on w dalszym ciągu nie należał do facetów, z którym żyło się „długo i szczęśliwie”. Wprawdzie po raz pierwszy w życiu taki pomysł nie wydawał mu się absurdalny, ale to kiedyś, kiedy będzie starszy.

Teraz musi się skupić na zadaniu. Doświadczenie go nauczyło, że błędem było przewidywanie zakończenia. Często z wielu powodów ten właśnie moment był najbardziej niebezpieczny. Człowiek jest zmęczony, nastawiony na rychły sukces przestaje być ostrożny,

a możliwość popełnienia błędu zawsze istnieje.

Więc póki Lilah nie będzie bezpieczna, poza zasięgiem Condesty, on musi skupić się na swym zadaniu. Później będzie miał czas zająć się swymi skomplikowanymi uczuciami, nad tym lodowatym piwem, które sobie obiecał po powrocie do Denver.

Przed nim oświetlony znak na narożniku budynku, błyskający w górę i w dół, zapraszał na zimne napoje i gorące kobiety. Dom przejechał obok, salutując, i zaczął liczyć przecznice. Gdy dojechał do piątej, wystawił rękę przez okno, bo kierunkowskazy nie działały i skręcił w prawo. Droga ubita po chwili przeszła w polną i zrobiło się ciemno. Na szczęście działały reflektory samochodu, a to, że deska rozdzielcza była nieoświetlona, wcale mu nie przeszkadzało. Im mniej widoczni byli on i Lilah, tym lepiej.

Skręcił w lewo przy rozpadającym się magazynie, minął rząd domów mieszkalnych, pustą działkę i wreszcie zobaczył długi, otynkowany budynek z szerokim gankiem, obwieszonym kolorowymi światełkami. Położony obok parking zapełniony był samochodami osobowymi i ciężarówkami, równie wysłużonymi, jak ta, którą prowadził.

Słyszał hałas – gitary elektryczne, perkusję i śpiew. Była to mieszanka muzyki country i karaibskiej, a towarzyszył jej od czasu do czasu wybuch śmiechu. Zwolnił, wjechał na parking i stanął na wolnym miejscu z tyłu, szczęśliwie osłoniętym olbrzymim drzewem jacarandy. Z zalem zgasił silnik.

– Li, obudź się, kotku. Jesteśmy na miejscu. Zamrugła rzęsami i próbowała się obudzić.

– Która godzina?

– Dochodzi ósma.

– Wydaje się później. – Ziewnęła, usiadła i przeciągnęła się. – Gdzie jesteśmy?

– El Gordo Gato.

– Co to znaczy? – Znów ziewnęła. – I dlaczego tu jesteśmy?

– Po naszymu powiedzielibyśmy Tawerna Pod Thustym Kotem. A jesteśmy tu dlatego, że jest duża, jest duży tłumek wciąż innych ludzi i automaty telefoniczne, które działają. Idealne miejsce do tego, żeby wykonać telefon i nie zostać zauważonym. Odgarnęła włosy z twarzy.

– Dobra. Zaraz poszukam sandałów i...

– Nie.

Zaprzestała poszukiwań na podłodze.

– Słucham?

– Pomyśl o tym, jak wyglądasz. Jak myślisz, ile jest tu niebieskookich blondynek? Natychmiast wzbudzisz zainteresowanie.

– Jeżeli nie mogę tam wejść, to po co mnie budziłeś? Wzruszył ramionami.

– Zamki w tej kupie złomu nawalają, jak wszystko inne. Nie zostawiłbym cię tu bezbronnej.

Myślała nad tym przez moment, po czym się uśmiechnęła.

– Zgadza się, to dobry powód. Dziękuję.

Jej uśmiech mało mu dziury w brzuchu nie wywiercił. Poczł wewnątrz znajome pragnienie, które powinno dawno być zaspokojone, a jednak nie było.

– Możesz mi później odpłacić – odpowiedział, najpoważniej w życiu.

Wyjął zza fotela plecak i położył między nimi. Wyjął pistolet, załadował, sprawdził spust i wręczył jej broń.

– Trzymaj to przy sobie. I zakryj głowę. – Zdjął kapelusz i wręczył jej. – Nawet w ciemności twoje włosy są widoczne.

Zwinęła włosy i nałożyła kapelusz. Był za duży i na każdym innym wyglądałby głupio. Na niej wyglądał świetnie. Zresztą mogłaby być ubrana w worek albo bez niczego, i tak wyglądałaby stylowo.

– Tu jest... jak w niebie – jęknęła z zachwytu Lilah, przeciągając się na przykrytym kocem cienkim materacu, który zajmował większą część komórki na tyłach tawerny.

Dominic spojrział na nią i pokręcił głową.

– Chyba dostałaś udaru słonecznego. Nie ma łazienki, wygodnego łóżka, prześcieradeł, elektryczności, niczego.

– To prawda. – Przewróciła się na bok, oparła głowę na rękach i przypatrywała się, jak on ściąga koszulę i rzuca na rozklekotane krzeselko w rogu. – Chyba nauczyłam się doceniać drobne rzeczy. Takie jak wyjście z ciężarówki, spanie na równej powierzchni, bez kamyków i owadów. O, i ciepły posiłek! To było cudowne.

Nie dodała, że najlepszym z tego wszystkiego był podarunek w postaci tej nocy. Z powodu sztormu, który wprawdzie ominął San Timoteo, ale pojawił się na północ i wschód od nich, musieli tu być we dwoje co najmniej przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny. Może się to zmieni po rozmowie telefonicznej Dominica z bratem, ale na razie byli we dwoje, co jej bardzo odpowiadało.

– Przyznaję ci rację, co do jedzenia, ciężarówki i kamieni, ale co do owadów, to głowy bym nie dał – powiedział Dom, nachylając się nad miską z letnią wodą umieszczoną na drewnianej półce przy ścianie.

Umięśnione ręce i ramiona, opalone przez tydzień przebywania na słońcu, wyglądały jak żywa rzeźba. Poza małą, wypukłą blizną pod lewą pachą, którą określił jako wynik „drobnej pomyłki”, jego plecy wyglądały doskonale, pomyślała Lilah. Szerokie w ramionach, zwężające się do bioder, z pośladkami, jakich mógłby pozazdrościć model męskiej bielizny. Poczwała dręczące pragnienie, żeby go dotykać, trzymać, nigdy nie pozwolić odejść.

– Poza tym bardzo miło jest mieć świece, bo mogę patrzeć na ciebie.

Przestał wycierać twarz wyliniałym ręcznikiem, który za godziwą opłatą zapewnił, jak wszystko inne, właściciel tawerny, nie zadając zbędnych pytań. Rzucił ręcznik w kierunku koszuli i spojrział na Li uważnie.

– To zabrzmiało jak zaproszenie, księżniczko. Wpił w nią wzrok, zdjął spodnie i rzucił je też w kąt. Przeszedł ją dreszczyk emocji.

– Nie potrzebujesz zaproszenia – powiedziała szczerze. – Moje drzwi są zawsze dla ciebie otwarte.

Ruszył w jej kierunku, opadł na kolana, a jego wzrok oblał ją jakby płynnym gorącem.

– Szczęściarzem z mnie. – Mówił przyciszonym głosem, delikatnym, jak aksamit. – Co to jest z tymi bogatymi dziewczynami, że zawsze jesteście za bardzo wystrojone – marudził, ściągając z niej koszulkę.

Objęła go za szyję i pocałowała. Przeciągała się jak zadowolony kot, przyciskając się do jego piersi, podczas gdy jego owłosiona noga gładziła jej uda. Lilah wiedziała, że nigdy go nie będzie miała za wiele – ani jego smaku na języku, ani tego gorącego, męskiego ciężaru dotykającego jej dłoni, ani tych obietnic, jakie niosły z sobą ruchy jego języka na jej wargach.

Dominic miał jednak własne pomysły i plany.

– Zwolnij, Li – wysapał, chwycił jej rękę i przytrzymał za jej głowę.

– Ale ja chcę... muszę.

– Nie sędzę – zamruczał. – Ja też lubię na ciebie patrzeć, zwłaszcza kiedy wyglądasz tak, jak teraz, zaróżowiona, dojrzała i gotowa. I lubię cię dotykać. Jesteś taka mięciutka. Wszędzie.

Uniósł się, jego usta bez pośpiechu dotykały jej skroni i przesuwały się wolniutko po policzku. Mimo swej niecierpliwości przymknęła powieki, które zrobiły się ciężkie, bo w tych pocałunkach było coś hipnotyzującego i elektryzującego zarazem.

Rozkoszowała się jego delikatnym dotykiem, pocałunkami jak motylki, na oczach, policzku, na czulej skórze za uchem. Poczuela, jak jego usta poruszyły się z satysfakcją, gdy jęknęła, doznając sprzecznych uczuć, kiedy wciskał rękami jej dłonie w materac, podczas gdy jego usta doprowadzały resztę jej ciała do szaleństwa. Zatrzymał się u nasady szyi i wydawało jej się, że lata całe minęły, nim wreszcie dotarł z pocałunkami na wysokość piersi.

Miał chyba talent do dręczenia jej, bo powoli okręzał jej sutek koniuszkiem języka. Ona leżała, napięta i drżąca, a on z irytującą dokładnością powtarzał tę czynność. Raz. Drugi. Trzeci.

Każdy nerw jej ciała drżał w oczekiwaniu, a tymczasem poczuela na piersiach tylko jego oddech. Zaśmiał się gardłowym tonem, pełnym męskiej satysfakcji.

– Och, maleńka, jesteś taka cudowna.

Jego słowa uspokoiły ją tylko odrobinę. Zdała sobie sprawę z tego, że nie zamieniłaby tej rozkosznej tortury na całą fortunę Ansonów. Nie chciała jednak, żeby był z siebie taki zadowolony.

– Przewiduję dla ciebie w przyszłości kajdanki – ostrzegła, kiedy była już w stanie sformułować jakąś wypowiedź.

– Tak? – Wcale go ten pomysł nie zniechęcił. – Uważaj, co mówisz, księżniczko. Mogę cię trzymać za słowo.

Natychmiast zobaczyła taki obraz, zupełnie jak w kinie. Zobaczyła jego przypiętego kajdankami na olbrzymim łożu, twarde mięśnie i opalone ciało, wystawione na pokaz. Do tego światło świec i ona, ubrana w coś przejrzystego i seksownego, która nachyla się nad nim i aplikuje mu to samo lekarstwo, którym on potraktował ją tej nocy – serię powolnych pocałunków, poczynając od twarzy, wzdłuż całego ciała, do pępka...

Nagle, bez ostrzeżenia, jego usta znów dotknęły jej napiętego sutka, ona porzuciła swoje wizje i wpiła się piętami w materac, unosząc biodra. Po chwili poczuela jego chropowaty policzek i jedwabiste włosy po wewnętrznej stronie swego uda i jego pocałunki posuwały się teraz coraz bliżej najbardziej czulego miejsca, pobudzając wszystkie zakończenia nerwowe. Przeszyła ją błyskawica i wobec tej burzy doznań mogła tylko głośno wykrzykiwać jego imię.

Wtedy, jak w cudownym śnie, okrył ją swoim ciałem, wszedł w nią i znalazł się dokładnie w tym czasie i miejscu, gdzie go pragnęła. Splótł dłonie z jej dłońmi, jakby odczuwał tę samą nienasyconą potrzebę bliskości co ona.

Nachylił głowę, żeby odnaleźć wrażliwe miejsce u nasady szyi, które okrył pocałunkami, a potem odnalazł jej gorące usta i splotły się ich języki, zmieszały oddechy.

Lilah czuła na swoim ciele jego biodra, uda, brzuch, czuła każdy ruch, który zbliżał ich do spełnienia. Znowu ona pierwsza zaczęła odczuwać słodkie zaspokojenie. Usłyszała swoje własne jęki:

– Dominic! Dominic!

Nie mogła przestać, czuła, że zbliża się do jakiejś krawędzi.

– O, nie – wyszeptał przez zęby. – Jeszcze nie, zaczekaj, nie jestem gotowy...

Równie dobrze mógłby próbować zatrzymać przypyływ morza. Poczul jej orgazm i dał się ponieść tej fali, aż całe jego ciało zadrżało pod jej naporem.

– Przepraszam, księżniczko. Chciałem, żeby to trwało dłużej.

– Nie szkodzi – uspokajała, masując jego łopatki, żeby wciąż być blisko. – Tak było idealnie.

Powoli się rozluźnił, a zanim świece się dopaliły, zasnął. Ona wciąż go tuliła do siebie, nie zważając na to, że z trudem oddychała pod jego ciężarem. Chętnie w ogóle przestałaby oddychać, gdyby mogła go tak trzymać na zawsze.

Na razie cały był jej. A ona była jego.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

– No chyba żartujesz – Lilah aż się obróciła w zniszczonym fotelu pasażera. – Jedziemy do osiedla prezydenckiego, żebyś mógł ukraść samolot Condesty? To jest twój plan?

Dom czuł, jakby jej jasnoniebieskie oczy wypalały w nim dziurę i na moment pozwolił sobie rozkoszować się widokiem jej w furii. Jednak przeraźliwy dźwięk klaksonu zmusił go do zwrócenia uwagi na poranny ruch uliczny.

– Właśnie tak!

– Ale to szaleństwo!

Pokazał, że skręca, wepchnął się na prawy pas i skręcił w ulicę, która prowadziła do budynków rządowych i do ekskluzywnej dzielnicy, którą El Presidente nazywał domem.

– Czy nie prowadziliśmy już takiej rozmowy, albo cholernie podobnej, w Las Rocas?

Zobaczył kątem oka, jak się uspokoiła.

– Może.

– I co ci powiedziałem?

Odczekała chwilę, po czym westchnęła.

– Żeby ci zaufać, bo nie działasz pochopnie.

– I?

– No, dobrze. Że jesteś profesjonalistą i wiesz, co robisz.

– Właśnie, i nic się nie zmieniło. – No, teraz już ściemniasz, Steele. Dzięki Lilah nic, łącznie z tobą samym, nie jest już takie, jak tydzień temu, pomyślał. Wściekły był na siebie, bo nie był to czas na rozpatrywanie życia osobistego, nawet przyznawanie, że takie ma. – To w ogóle nie podlega dyskusji, księżniczko, zwłaszcza po tym, co wydarzyło się wcześniej w tawernie.

Sama myśl o tym zepsuła mu humor.

Po kilku godzinach najlepszego snu, jaki mu się zdarzył od tygodni, obudził się i stwierdził, że już zbliża się dziewiąta. Ubrał się, zostawił śpiącą dziewczynę i poszedł do tawerny po kawę i zadzwonić do Gabe'a. Wiadomości nie były dobre. Morze w przyjaznych portach w pobliżu San Timoteo było wciąż wzburzone, pogoda się poprawiała, ale była niepewna. Sztorm spowodował kłopoty w całym łańcuchu wysepek, więc wszystkie śmigłowce w zasięgu kilkuset kilometrów były zajęte przewozem ludzi i żywności.

A gwoździem do trumny były pogłoski krążące po tawernie, że lotnisko i okolice były wyjątkowo gęsto i dokładnie patrolowane przez policję. W tym układzie podróż łódką czy rejsowym samolotem nie wchodziła *i* w grę, więc prawdopodobnie będzie musiał uruchomić plan D, jeżeli chociaż ten będzie osiągalny.

– A masz tę drugą informację, o którą prosiłem? – spytał brata.

– Miała rację – odpowiedział krótko Gabe. – To jest nowiutki de Havilland, z najwyższej półki. Nasz przyjaciel ma go od miesiąca, więc pewnie dlatego nie było go w informacjach, jakie otrzymaliśmy.

Nowy czy nie nowy, po powrocie będą musieli przedyskutować jakość wywiadu w tej

sprawie. Zapłacili sporo za pełną informację, jakiej nie dostali.

Wszystkie te obawy rozplynęły się jak dym, gdy zauważył ruch przed tawerną i przez przybrudzone okienko zobaczył najnowszy czarny model sedana z insygniami policji Condesty, zatrzymujący się na parkingu.

– Więc zrobisz to? – dopytywał się Gabe.

Dom poczuł dopływ adrenaliny, gdy policjanci wysiedli z samochodu i zbliżali się do schodów tarasu.

– Poważnie to rozważam.

– To chyba najlepsze rozwiązanie, jeżeli sytuacja się pogorszy. Jak będziecie w powietrzu, to żabi skok do Puerto Castillo. Na wszelki wypadek zarezerwuję pokoje w hotelu Royal Meridian.

– Zrób to. – Na zewnątrz *policia* dochodziła już do górnych stopni. – Słuchaj, muszę lecieć. Zdaje się, że mam niepożądane towarzystwo.

Reakcja Gabe'a była typowa, to znaczy, nie zareagował w ogóle, tylko odpowiedział dalej tym samym tonem.

– W porządku. Zadzwoń, kiedy dotrzesz do punktu docelowego. I bądź ostrożny.

– Będę.

Rozłączyli się i Dominic zdążył jeszcze zapewnić właściciela, który był w barze sam, poza kilkoma chrapiącymi gośćmi, odsypiającymi nocną libację, że podtrzymuje swoją obietnicę – właściciel dostanie jeszcze raz tyle, co już dostał, jeżeli zapomni, że widział tu Lilah. Modląc się, żeby ona nie przyszła go tu szukać, ani żeby strach właściciela przed policją nie okazał się silniejszy od chciwości, zdążył oblać sobie koszulę resztką piwa z butelki, które ktoś zostawił, zmierzwić włosy i padł na najbliższe krzesło, twarzą na stół, dołączając do towarzystwa śpiących.

W tym momencie usłyszał skrzypnięcie drzwi i weszli policjanci. Szczęście mu dopisało. Po nieudanej próbie przebudzenia dwóch najbliższych pijaczków, policjanci wyrazili swoje obrzydzenie w krótkich słowach, i opuścili budynek.

Dom jednak wciąż był przerażony na samą myśl, co mogło się wydarzyć. Policjanci bowiem pytali właściciela baru, czy widział albo słyszał coś na temat *una gringa bonita rubia* – ładną blondynkę z obcego kraju. Jeśli ludzie Condesty tak aktywnie przeszukiwali miasto, żeby znaleźć Lilah, czas uciekać. Natychmiast.

– Dominic... – Lilah wyciągnęła rękę i położyła na jego ramieniu. – Przepraszam. Nie wątpię w twoje kompetencje. I ufam ci. Zaufałam i powierzyłam ci moje życie. Tylko... to mi się wydaje takie dziwne, jak unikanie lwa poprzez wchodzenie do jego klatki.

Powstrzymał się od przekleństwa, gdy wyjechał mu nagle przed samochód jakiś chłopak na motorowerze.

– Condesta nie jest lwem. Raczej węzem albo ropuchą. I to niezbyt bystrą. To ostatnia rzecz, jakiej się spodziewa.

Uśmiechnęła się z przymusem.

– Pewnie masz rację. – Mimo odważnej miny, w jej głosie słychać było niepewność.

Wściekły był, że ona się bała, wściekły był na człowieka, który to spowodował. Tym

bardziej należało to zakończyć.

– Posłuchaj, nic mnie nie obchodzi, że on się uważa za króla dżungli. Poradzę sobie z nim i wszystkim, co na mnie skieruje. Przystań się martwić. Nie mam zamiaru robić nic tak głupiego, jak rozwalić ciężarówką bramę.

Spojrzała na niego, tym razem nie z miłością.

– To wcale nie jest śmieszne.

– A właśnie, że jest. – Ścisnął jej udo. – Było to również bardzo odważne. Ale gdybyś kiedyś chociaż pomyślała, żeby zrobić coś równie nieodpowiedzialnego, to osobiście bym cię złapał i zamknął.

Jego humor trochę poprawił jej nastrój.

– Dziękuję – odpowiedziała krótko.

– Proszę bardzo. A teraz siedź i słuchaj, a ja ci powiem, co zrobimy.

Tak jak przewidział Dominic, dostanie się na tereny rezydencji El Presidente było śmiesznie łatwe.

Ubrana, jak reszta służących, w luźną czarną spódnicę i zwykłą białą bluzkę, z włosami ukrytymi pod bandaną, Lilah szła z oczyma wbitymi w ziemię, w grupce kucharzy, pokojówek, mechaników i ogrodników, w kierunku otwartego wejścia dla służby.

Gdy na ułamek sekundy podniosła wzrok, widziała Dominica idącego przed nią w grupie mężczyzn. On również był ubrany w typowy strój robotnika, bawełnianą koszulę, szerokie spodnie i sandały. Opuścił głowę i przygarbił się, żeby ukryć swój wzrost i siłę.

Jego obecność dodawała jej otuchy. Wciąż nie mogła uwierzyć, jak dzielnie wślizgnął się do baraku mieszkalnego poza terenem rezydencji, gdzie mieszkała część służby, i spokojnie zakosił ubranie i proste identyfikatory do zawieszenia, według których byli pracownikami kompleksu rezydencji. Naprawdę nie żartował, kiedy opowiadał, że dokładnie to wszystko przestudiował przed i po przyjeździe do San Timoteo. Teraz widać było, że opłaciło się odrobić pracę domową. Nie miała wątpliwości, że on poradzi sobie ze wszystkim.

Na razie jednak, gdy przechodzili bramę do fortecy Condesty, nie było powodu do bohaterstwa. Wprawdzie niektórzy pracownicy rzucali w ich kierunku zaciekawione spojrzenia, ale nikt nie miał zamiaru niczego robić, żeby zwrócono na nich uwagę. Wydaje się, że strażników bardziej interesowali wychodzący pracownicy, którzy mogli wynieść jakieś skarby El Presidente, niż ci, którzy przychodzili do pracy.

Jej mała grupka już ich minęła i teraz posuwali się żwirową ścieżką, osłoniętą z obu stron gęstym żywopłotem. Pewnie dlatego, żeby nie psuć sobą widoku, jaki miał El Presidente, pomyślała Lilah z odrazą. Z tego, co dotychczas zaobserwowała, dyktator wolał nie stykać się ze zwykłymi ludźmi. Jego styl to rządzenie z góry. Z bardzo wysoka.

Po ponad miesiącu spędzonym w tym kraju wyraźnie widziała kontrast między kompleksem z rezydencją prezydencką a resztą San Timoteo. Tu nie spotykało się brudnych, nie chodzących do szkoły, bosych dzieci ani młodych matek zebrzących na rogach ulic, ani bezrobotnych, zapijających gdzieś w bocznych uliczkach swoje nieszczęścia.

Tutaj trawniki były wypielegnowane, rosły cudowne egzotyczne kwiaty, niedaleko wznosiły się eleganckie hiszpańskie domy w stylu kolonialnym, a widok na prywatną część

Zatoki Santa Marita zapierał dech w piersiach.

Jednak to nie ten widok skierował jej wzrok w prawo. W odległości boiska, na tle błękitnej wody i lazurowego nieba, królował jacht Condesty. Po drugiej stronie szerokiej przystani, w białym hangarze, ukryte były pozostałe zabawki El Presidente. Razem z samolotem, który Dominic zamierzał ukraść.

Serce jej zabiło, ale z powrotem patrzyła pod nogi modląc się, żeby nikt nie zauważył, jak bardzo paraliżuje ją strach. Pracownicy idący przed nią zwolnili, gdyż weszli w podwórze mieszczące się za główną rezydencją. Większość grupy wchodziła do wewnątrz, ale kilka osób, łącznie z Lilah i Dominikiem przeszło dalej i wkrótce opuścili podwórze, przechodząc pod szerokim łukiem.

Tutaj droga rozdzielała się, zdaniem jej dzielnego dowódcy, na kilka mniejszych, prowadzących do pralni, szklarni, magazynku ogrodnika i do przystani. W cieniu olbrzymiego drzewa Lilah zwolniła i trzymając się coraz bardziej w tyle, udała, że się potknęła i zatrzymała się, żeby pomasażować nogę w kostce i poprawić sandały. Gdy się wyprostowała, pozostałych, łącznie z Dominikiem, nie było widać.

Nagle usłyszała za sobą jego głos i przestraszyła się, chociaż właściwie się go spodziewała.

– Dobra robota, księżniczko.

Obróciła się, uszczęśliwiona, gdy wynurzył się zza drzewa.

– Dzięki Bogu.

Schwycił ją za rękę i uścisnął, żeby dodać jej otuchy.

– Świetnie sobie radzisz. Jeszcze trochę i będzie po wszystkim.

Jego słowa miały być pociechą, więc zmusiła się do uśmiechu.

– Wiem.

– No, to chodź.

Trzymał ją wciąż za rękę i dalej szedł przygarbiony, z głową zwróconą w jej stronę i starał się, żeby wyglądali na zakochaną parę. Nagle usłyszeli czyjeś kroki i Dominic natychmiast oparł ją o najbliższą pionową powierzchnię, która okazała się być olbrzymim kwitnącym krzewem. Przywarł do niej i zaczął całować.

Intruz się zatrzymał.

– Hej, ty! Zostaw ją i wracaj do pracy.

– Tak jest, proszę pana. Przepraszam pana – odpowiedział natychmiast Dom w lokalnym dialekcie, odskakując od niej.

Skierował Lilah z powrotem na ścieżkę i szli, nie odzywając się do siebie, póki nie doszli do zakrętu, tym razem już bez przeszkód.

– W porządku? – spytał, wpatrując się w nią intensywnie przez sekundę.

Przyłożyła dłoń do bijącego serca, żeby się uspokoić.

– Tak, oczywiście.

– To dobrze.

– Więc podejdź do tego spokojnie i zachowuj się, jakbyś miała wszelkie prawo tu być.

– Dobrze.

– I jeszcze jedno, Li.

Motyłki fruujące w jej żołądku nabrały tempa F16. Spojrzała na niego.

– Słucham?

– Nie miej takiej miny, jakby ci właśnie umarł pies. To psuje nasz obraz zaufanych pracowników.

Lilah popatrzyła ze zdumieniem. Przy całej powadze i staranności, jaką przykładał do wykonania zadania, było jasne, że na pewnym poziomie świetnie się bawi. A ona nigdy nie mogła się oprzeć dobremu humorowi Domiriica. Od samego patrzenia na niego, tryskającego energią, czuła się lepiej i motyłki w jej żołądku się uspokoiły.

– Wiesz, że jesteś wariat, tak? Uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Och, tak.

Trzymając broń przy boku, gdzie zakrywały ją fruujące poły koszuli, wskazał gestem, żeby szła przed nim, gdy wyszli na oślepiające słońce. Spokojnie, jakby przechodzili Silver Street w Denver, przeszli chodnikiem do rampy i wślizgnęli się do hangaru dla łodzi.

Dłuższa ściana budynku ciągnęła się wzdłuż wybrzeża, całość podzielona była na osiem części, a w nich, jak rasowe konie w swych zagrodach w stajni, stały w swych boksach trzy zgrabne motorówki, dwie wysokie sportowe łodzie rybackie i jedna potężna łódź w kształcie cygara. Jeden boks był pusty, a w następnym stało to, po co przyszli: błyszczący, nowiutki hydroplan El Presidente.

W nieskazitelnie białym wnętrzu błyszczał jak perła. Lilah, która ciągnęła jak ćma do światła, zrobiła krok w jego kierunku. Nagle usłyszała głośny wybuch śmiechu, któremu towarzyszyły co najmniej trzy męskie głosy i odezwały się wszystkie naraz.

Nim się zorientowała, skąd płynie zagrożenie, znana dłoń zasłoniła jej usta i Dominic pociągnął ją, ukrywając za drewnianą skrzynią, której przedtem nie zauważyła.

– Cii! Siedz tutaj – szepnął i znikł bezszelestnie. Objęła się ramionami i bezskutecznie starała przestać się trząść ze strachu.

– Li.

Otworzyła oczy, gdy poczuła dotknięcie jego ciepłej dłoni. Dominic wrócił. Jak to możliwe, żeby taki potężny mężczyzna tak cicho się poruszał?

– Nic wielkiego – poinformował, prawie bezgłośnie. – To pomocnicy z przystani grają w karty przy dystrybutorze paliwa. Zaczekaj tutaj i przyjdź, kiedy dam ci znak.

Znów potrząsnęła głową. Policzyła do dziesięciu i wysunęła głowę ze swego schronienia. Miłość jej życia, skradając się jak kot, podszedł do samolotu, uwolnił go z cum, wspiął się i spróbował otworzyć drzwi. Gdy mu się udało, obrócił się i skinął na nią palcem.

Lilah wzięła głęboki oddech, zebrała się na odwagę i na paluszkach podbiegła do niego. Nachylił się, schwycił ją pod ramię i wciągnął za sobą, po czym usadowił się w kokpicie. Siadł w fotelu pilota.

– Zapnij się – polecił, studiując niezrozumiały dla niej układ gałek, przełączników, wskaźników i wyświetlaczy. Nim znalazła klamrę od pasa, ustawił szybko kilka wskaźników i guziczków i zaraz potem silnik zapalił. Hydroplan gładkim ślizgiem wysunął się z hangaru i słyszała tylko głosy wykrzykujące coś za nimi. Pojazd się rozpędzał, a Dom ustawił lotki

wprost pod wiatr, wiejący od wejścia do zatoki.

I właśnie wtedy, kiedy wydawało się, że udało im się perfekcyjna ucieczka, szczęście ich opuściło.

Sunąc majestatycznie, zza falochronu wynurzyła się wyścigowa motorówka, rozpryskując za sobą imponujące strumienie wody. Na kadłubie w kolorze szary metalik namalowano łuk, przypominający paszczę rekina, a na nadburciu powiewały flagi San Timoteo. Na rufie stało dwóch ubranych na czarno osiłków.

A za kierownicą siedział nikt inny, tylko Manolo Condesta we własnej osobie. Obrął kurs na dom, czyli jego łódź pruća wprost na nich.

– O Boże – jęknęła Lila.

Dom wyraził się bardziej grzesznie.

– Zastanawiałem się nad tym pustym boksem – powiedział z nieukrywanym obrzydzeniem. – I jak widzisz nasze szanse?

Skupiona była na obserwowaniu Condesty, którego twarz wyrażała po kolei różne uczucia, od zdziwienia poprzez niedowierzanie aż do wściekłości.

– Nie mam pojęcia. – Przełknęła ślinę. – Co zrobimy?

– Módl się, żeby on zwolnił albo zakręcił, bo ja na pewno tego nie zrobię.

Oderwała wzrok od El Presidente i spojrzała na mężczyznę siedzącego obok niej. Był spokojny i opanowany.

– Nie zrobisz? – Nie.

Dodał gazu i poprawił lotki. Samolot zdawał się ślizgać po falach, a skrzydła nabierały powietrza.

– Ale... jedziemy wprost na nich.

Prawie niedostrzegalnie wzruszył ramionami.

– Nic na to nie poradzę. Musimy wystartować pod wiatr, a stary Manolo po prostu znalazł się na samym środku naszej trasy.

Zastanawiała się przez moment.

– A czyjego ochroniarze nie mają broni?

– Ręczną – uściślił Dom. – W tych warunkach nawet w najlepszych rękach miałyby niewielkie szanse. A z tego, co widziałem, nie można ich nazwać najlepszymi. Nie martw się – na sekundę oderwał wzrok od deski rozdzielczej – wszystko będzie dobrze. Nie pozwolę, żeby coś ci się stało.

Nawet gdyby miał zapłacić życiem, pomyślała. Cały czas gdzieś to w niej tkwiło, ale teraz wystąpiło z całą oczywistością. Lilah obróciła się do niego. Nie wiedziała jeszcze, jak to powie, ale wiedziała, że musi.

– Dominic? – Co?

– Na wypadek, gdyby to się nie udało, chcę, żebyś wiedział, że nie zamieniłabym tych ostatnich kilku dni na nic. I nie zmieniałabym nic, co się wydarzyło.

Wpatrzony w trasę, poklepał ją pocieszająco po udzie.

– Daj spokój, księżniczko, nie martw się. Naprawdę. Za minutę będziemy w powietrzu.

– Jestem pewna, że masz rację. Ale jeżeli jednak coś się nie uda, chcę, żebyś wiedział –

przestała oddychać, po czym powoli uniosła głowę – że jesteś najwspanialszym mężczyzną, jakiego znam. Kocham cię. Kocham cię za to, kim jesteś i wszystko, co z tobą związane. I zawsze będę.

Poza warkotem silnika, w kokpicie panowała zupełna cisza. Na jedną, niekończącą się sekundę ich spojrzenia się spotkały, ale nagle uderzył ich boczny wiatr i rzuciło samolotem na boki. Musiał znów zwrócić uwagę na zadanie do wykonania.

– Tak, jak powiedziałem. – Podkreślił odrobinę gałkę z napisem „mieszanka”. – Wszystko się uda. Zaufaj mi. A teraz muszę się na chwilę skupić.

Czy to tylko jej wyobraźnia, czy jego głos był nieco mniej ciepły niż chwilę wcześniej?

Po raz ostatni poprawił lotki, wyprostował się i dodał gazu do końca. Łódź przed nimi była coraz bliżej, coraz większa i większa, im bardziej oba pojazdy zbliżały się do siebie.

– Ufam ci – szepnęła Lilah. Nie była w stanie zrobić nic innego, więc zamknęła oczy i modliła się.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Lilah przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze toaletki. Niespecjalnie, stwierdziła, patrząc na cienie pod oczami, brzydki strup na ramieniu i resztki siniaków na rękach, jako pozostałość po uprzejmych strażnikach z Las Rocas.

Z drugiej strony, nie wyglądała znów tak najgorzej. Czas spędzony na słońcu pozostawił na jej włosach świetliste pasemka, za jakie trzeba by zapłacić majątek w salonie fryzjerskim, a opalenizna sprawiła, że jej oczy wydawały się bardziej niebieskie niż zwykle. Poza tym, całe to chodzenie i bieganie podkreśliło jej delikatne mięśnie rąk i nóg.

Zresztą długa kąpiel, dostęp do kosmetyków i nabycie nowej sukienki, założonej na czerwony atlasowy biustonosz i stringi do kompletu, wszystko zakupione w pośpiechu w hotelowym sklepie, dodały jej pewności siebie.

Obleci, uznała. A to już bardzo dużo, biorąc pod uwagę fakt, że jeszcze osiem godzin temu nie była pewna, czy w ogóle przeżyje, a co dopiero, że będzie myślała o takich głupstwach jak odcień szminki.

Przymknęła oczy i przypomniała sobie tę szarżę przez Zatokę Santa Marita, promienie słoneczne błyskające na powierzchni wody i samolot, ślizgający się po wodzie coraz szybciej i szybciej. I Dominica, twardego jak skała, kiedy łódź El Presidente stawała się coraz większa za przednią szybą samolotu. Czekał w napięciu, sprawdzał prędkość, i czekał, czekał, czekał, aż w końcu przyciągnął wolant.

Puls jej przyspieszył na samo wspomnienie. Samolot nagle unióś się nad wodą niemal pionowo, aż ją wcisnęło w fotel, zostawiając gdzieś poza nią przyciąganie i jej żołądek. Nie zapomnia też, jak Dominic, gdy już byli w powietrzu, powoli wykonał kółko, żeby na własne oczy mogła zobaczyć wielkiego El Presidente, który przeklinając, rzucił się do wody, parskając, jak oszalały krokodyl, aż ochroniarze musieli go wciągać z powrotem do łodzi. Nie widziała momentu, w którym wykonał klasyczne plaśnięcie na brzuch, bo bała się jeszcze patrzeć w dół. Natomiast na samo wspomnienie uśmiechała się ze złośliwą satysfakcją.

Niestety, wspomnienie reszty lotu nie było już takie przyjemne. W tych krótkich momentach, kiedy Dominic nie rozmawiał przez radio ze swymi braćmi, kontrolerami ruchu napowietrznego i różnymi władzami Puerto Gastillo, powiedział jej jeszcze kilka rzeczy.

Ostrzegł, że ze względu na to, że samolot był skradziony, osobę prawowitego właściciela oraz fakt, że Lilah nie miała żadnych dokumentów, ich przybycie spowoduje pewne zamieszanie. Wyjaśnił, że po wylądowaniu najprawdopodobniej zostaną zatrzymani, rozdzieleni i przesłuchani, ale był pewien, że nie potrwa to długo. Dodał, że po zwolnieniu on będzie musiał jeszcze załatwić kilka spraw, więc żeby pojechała sama do hotelu, a on zadzwoni, jak tylko będzie mógł. Tak zresztą zrobił. Zadzwonił prawie godzinę temu, zapewnił, że jest już w drodze, umiera z głodu i czy ona jest gotowa na kolację.

Nie powiedział tylko jednej rzeczy – że ją kocha.

W porządku, uspokajała się Lilah. Wyznała mu swoje uczucia nie dlatego, że oczekiwała wyznań z jego strony. Nie, żeby nie marzyła o tym, że weźmie ją w ramiona, spojrzy tymi

oczami zielonymi jak rajski ogród i oświadczy, że ją kocha i żyć bez niej nie może.

Przestań wariować na punkcie czegoś, na co nie masz wpływu, uspokajała się.

Zresztą uświadomiła sobie, że może żyć bez tych słów, ale nie może żyć bez Dominica, w swoim życiu, w ramionach i w sercu. Jeśli tylko mogliby być razem, nic innego nie miało znaczenia.

Podskoczyła na dźwięk delikatnego gongu u drzwi. Rzuciła szminkę na stoliczek, zacisnęła usta, żeby rozetrzeć równo błyszczki i podbiegła leciutko stukając obcasami, żeby otworzyć drzwi w drugim pokoju. Dech jej zapało.

Świeżo wykąpany i ogolony, w obcisłych dżinsach, białej koszuli, rozpiętej przy szyi i w granatowej lnianej marynarce, Dominic wyglądał oszałamiająco.

– Wow! – powiedziała cicho. Zmrużył oczy w uśmiechu.

– Ty też. – Przez dłuższy czas przypatrywał się jej niespiesznie, od czubka głowy, poprzez wąską sukienkę na ramiączkach aż po boscie stopy w sandałkach na obcasie i świeżo pomalowane paznokcie u nóg. W końcu spojrzał na twarz. – Wyglądasz... nieprawdopodobnie.

Zaśmiała się cicho i poddała impulsowi. Podeszła, wspięła się na palce i objęła dłońmi jego twarz.

– Tęskniłam za tobą. – Pocałowała go, przywierając do jego ust. – Potrzebowałam tego – wyznała. – Potrzebowałam ciebie. – Wzięła go pod rękę i wprowadziła, mówiąc lekkim tonem. – Ale kiedy się wykąpałeś i gdzie? Myślałam, że przyjdiesz wprost tutaj...

– Spokojnie, dziecino, chwileczkę. Wstąpiłem do swojego pokoju – zauważył prywatny basen za werandą – który nie jest zły, ale nie umywa się do tego.

Jego pokój? – Ale myślałam...

– Co takiego?

Nic nie myślała, po prostu założyła, że będą razem w pokoju. Musiał być jakiś powód, może jego interesy, że było inaczej, chociaż nie miała pojęcia dlaczego. Nieważne, pomyślała. Był tu, teraz i tylko to miało znaczenie.

– Nic takiego. Cieszę się, że cię widzę.

– Ja też.

Zauważyła, że mimo pozornej nonszalancji był bardzo spięty.

– Możemy zamówić kolację do pokoju, jeśli chcesz – powiedziała, przypuszczając, że może to prostu zmęczenie.

Znów na nią spojrzał i na moment zobaczyła w nich znajome ogniki, rozświetlające najgorszą ciemność.

– Nie, za dobrze wyglądasz, żeby cię trzymać w ukryciu. Poza tym jest piękny wieczór, tutejsza pięciogwiazdkowa restauracja ma znakomitego szefa kuchni i jest niezły parkiet do tańca. Muszę się tobą pochwalić. Zostawię tylko to – wyciągnął z kieszeni marynarki paczkę papierów i położył na barku – i idziemy.

Sięgnęła po swą wieczorową torebkę.

– Co to jest? – wskazała na pakiet.

– Coś, bez czego nie da się żyć. Gotówka, nowy paszport, bilet lotniczy pierwszej klasy,

opis trasy...

– Opis jakiej trasy?

– Twojej podróży powrotnej do domu. Pewnie to dla ciebie nie nowość, ale jak twoja babcia pociągnie za odpowiednie sznurki, to wszystko się trzęsie. Jutro punktualnie, o dziewiątej rano będzie tu czekał na ciebie samochód wraz z eskortą z konsulatu amerykańskiego, żeby cię zawieźć na lotnisko.

Przystanąła.

– Boże – musiała pamiętać o oddychaniu, bo mogłaby zemdleć – a co z tobą?

Wzruszył ramionami.

– Ja muszę jeszcze uprawiać trochę dyplomacji. Nikt nie lubi Condesty, ale lokalny rząd nie może zignorować tego, co się wydarzyło. Nie będzie to eleganckie.

– Chyba nie odeślą cię z powrotem do San Timoteo?

– Wzdrygnęła się na samą myśl.

– Nie, no skąd! – Potarł delikatnie jej rękę. – Kilka spotkań, dużo przepraszania i wszystko będzie dobrze.

– Dobrze. – Odetchnęła z ulgą. – Więc jeżeli to wszystko, to zaczekam tu z tobą, aż też będziesz mógł wyjechać.

– Cofnęła się do saloniku.

– Li...

– Czy masz numer, pod który mogłabym zadzwonić, żeby odwołać...

– Lilah.

Tylko dwie sylaby, ale tak powiedziane, że wiedziała, że coś jest nie w porządku. Obróciła się do niego twarzą.

– O co chodzi, Dominic?

Nawet nie udawał, że się uśmiecha.

– Ty i ja... razem... to było cudowne, ale po dzisiejszym wieczorze musimy wrócić, każde, do swego prawdziwego życia w realnym świecie.

Znów ją odsuwał, na nowo przeżywała najgorszy koszmar swego życia, a jej serce znów zostanie roztrzaskane na tysiąc kawałeczków. Ale minęła dłuższa chwila, a serce miała w całości. Wciąż nie powiedział tego, czego obawiała się najbardziej – że jej nie kocha. Poza tym, nie była już taką bezradną nastolatką. Popatrzyła mu prosto w oczy.

– Nie – odpowiedziała zwyczajnie. Wydawał się bardzo zaskoczony.

– Co nie?

– Nie odejdę tak po prostu, udając, że nic się między nami nie wydarzyło. Powiedziałam ci szczerze, że cię kocham. Robisz nam obojgu krzywdę, twierdząc, że ostatni tydzień to była jakaś zabawa czy fantazje. Wiesz, że to nieprawda. To, co między nami zaszło, jest bardzo prawdziwe.

Zauważyła, że przeskoczył mu jakiś mięsień w policzku.

– Zgoda, może źle się wyraziłem, ale to nie znaczy, że to... że my razem... że to się sprawdzi. Nie sprawdzi się.

– Dlaczego nie?

– Po pierwsze, moja praca.

– Co takiego?

– Do cholery, Li – nie ukrywał zniecierpliwienia. – Jest niebezpieczna. Nie ma mnie całymi tygodniami. Bywam w ryzykownych sytuacjach.

Dlaczego on to robi? Wiedziała, że go obchodzi, wynikało to z każdego jego słowa, gestu i czynu w ciągu ostatnich kilku dni. Dlaczego ją odpycha?

– Moja praca też wymaga podróżowania – poinformowała. – I nie jesteś jedynym człowiekiem na świecie z niebezpiecznym zawodem. Nigdy bym cię nie prosiła o porzucenie pracy, jeśli o to ci idzie. Pokręcił głową.

– Wydaje ci się, że to sobie wyobrażasz, ale nie masz racji. Kilka miesięcy, może trochę dłużej i będziesz miała dosyć, że mnie nigdy nie ma, że nie masz z kim pójść obejrzeć baletu albo do ulubionej francuskiej restauracji.

Teraz już się zdenerwowała.

– Słuchaj uważnie, Dominicu. To jest dwudziesty pierwszy wiek. Mogę sobie iść sama, dokąd chcę. Nie prowadzę egzotycznego życia. Mieszkam w mieszkaniu z jedną sypialnią. Jedyne koncerty, na które chodzę, to Tima McGraw, a jedyna restauracja w moim zajęтым życiu, to Pelligrini Pizza.

– Daj spokój, Lilah, przecież jesteś z Ansonów.

– Jeżeli masz na myśli pieniądze, to natychmiast rano przepiszę na ciebie mój fundusz powierniczy.

– Do cholery! – ryknął. – Nie chcę twoich pieniędzy. Musisz zdać sobie sprawę z tego, że cała ta rozmowa jest wynikiem sytuacji, w której byliśmy. Ty się czułaś zagrożona, a ja byłem twoim opiekunem. To klasyczny przypadek...

– Tylko nie próbuj powiedzieć „uwielbiana bohaterka” – ostrzegła.

– ... przeniesienia. I zrobiłbym ci krzywdę, wykorzystując tę sytuację.

– Nie można wykorzystać kogoś, robiąc to, co on chce – powiedziała z niepodważalną logiką.

Mówił dalej, jakby jej w ogóle nie słyszał.

– I wiesz, co jeszcze? Zaczynam się coraz bardziej czuć jak dziesięć lat temu, kiedy próbowałaś poniewierać moim życiem. Mam dla ciebie wiadomość, kochanie! Wtedy mi się to nie podobało, a teraz jeszcze mniej.

– Poniewierałam! – powtórzyła z niedowierzaniem. – Dominic, miałam dziewiętnaście lat i byłam tak w tobie zakochana, że nie byłam w stanie myśleć. Chciałam, żebyśmy byli razem, ale bałam się, że ty nie czujesz tego samego. Więc zamiast ci powiedzieć o swoich uczuciach, uległam swojej dumie.

– I to twoja duma powiedziała, że bym się wynosił? – spytał złośliwie.

Uniosła głowę.

– Zabałamotałam sprawę. I było mi przykro, jak nigdy w życiu. Ale nie byłam sama tamtego dnia w domku nad basenem. Mogłeś zostać. Mogłeś walczyć o mnie, o nas. Tymczasem uciekłeś tak szybko, że aż cud, że nie zostawiłeś wypalonych dziur na pomoście. A teraz znów robisz to samo.

– Jasne, że robię. Próbuję ci przemówić do rozsądku, ale nie słuchasz ani jednego mojego słowa!

– Słyszałam każde twoje słowo! Jak na razie przedstawiłeś mi spis powodów, dla których nie jesteś odpowiedni dla mnie, a które mnie nic nie obchodzą. To nie chodzi o mnie, tylko o ciebie. Czego ty się boisz?

– Niczego – odkrzyknął – poza bogatymi dziewczynami, które nie rozumieją, jak się mówi „nie”.

Lilah poczuła się, jakby ją uderzył. Nim doszła do siebie, obrócił się na pięcie i odszedł.

Dominic wypił spory łyk dawno oczekiwanego piwa, które sobie obiecał. Było takie, jak lubi: lodowate i łagodne. Dlaczego więc smakowało, jak woda z kałuży?

Przypatrywał się sobie w lustrze w jednym z trzech najmniejszych barów hotelu Meridian. Nie trzeba było geniusza, żeby znaleźć odpowiedź. Lilah. Kto mógłby pomyśleć, że w mgnieniu oka rozsądna, zgodna kobieta, z którą właśnie spędził najbardziej pamiętne dni w swoim życiu, stanie się tak odporna na racjonalne argumenty?

Z drugiej strony, nie spodziewał się, że on zachowa się, jak największy palant na świecie. Słusznie powiedział jej to, co powiedział, ale nie powinien tracić głowy i wybiegać z wściekłością, jak jakiś smarkacz.

Zresztą Lilah była nie bez winy. Nie dosyć, że tak wyglądała w tej czerwonej sukience, to jeszcze go pocałowała i oświadczyła, że bez niego nie wraca. Czuł się postawiony pod ścianą. Zamiast zaczekać, i przy kolacji delikatnie powiedzieć jej to, co zamierzał, od razu poinformował, że z nimi koniec.

Spodziewał się, że kiedy ona przemyśli sprawę, też dojdzie do wniosku, że ich wspólny czas był wspaniałą przygodą, ale bez przyszłości. Zgodzi się z nim, że nie nadaje się do bliższego kontaktu z okrutnymi sprawami życia i śmierci, z którymi on miał do czynienia.

W końcu była to Lilah Anson Cantrell – bogata, uprzywilejowana i zbyt chroniona, żeby mieć do czynienia z okropnościami tego świata.

Tak, i dlatego znalazła w sobie tyle odwagi, żeby skakać ze skały w ciemność tylko z jego zapewnieniem, że będzie dobrze? Dlatego twardo walczyła, żeby nie utonąć, a później się z nim kochała pół dnia i większość nocy. Dlatego uczyniła takie wyznanie, kiedy wydawało się, że wpakujesz się w łódź Condesty?

Mimo gorzkiego smaku w ustach dopił piwo i gestem zamówił następne. Ani ta drobna ilość alkoholu, ani krótka rozmowa z barmanem nie powstrzymały toku jego myśli.

Jeżeli uważasz, facet, że Lilah jest porcelanowym aniołkiem do postawienia na serwantce, to nadajesz się do domu bez klamek. Dobra, teraz już wiedział, że ona nie jest takim delikatnym kwiatuszkiem, za jaki ją uważał przez całe lata. A on rzeczywiście schrzanił sprawę, zresztą zrobił ostatnio sporo głupich rzeczy. Przede wszystkim złamał swoją żelazną zasadę, żeby się nie angażować.

Jeśli idzie o ich zerwanie dziesięć lat temu, to faktycznie byli bardzo młodzi i nie tylko jej duma ucierpiała. Po prostu wiedział, że ten związek nie przetrwa. Ona była bogata, on nie. Ona była w trakcie zdobywania najlepszej edukacji, a on nie. Ona chciała wspólnej przyszłości, a on się nauczył, że nie można nikomu zaufać, bo możesz zostać opuszczonym,

nawet przez własną matkę.

Zaraz, chwileczkę, Steele, to nie tak. To ty uznałeś, że nie chcesz się z nikim wiązać. Chciałeś być silny i niezależny. A teraz słyszał głos Lilah: „Czego tak się boisz, Dominicu?” I nagle przyszła odpowiedź: „Boję się, że jeśli pozwolę sobie ją kochać, i nam się nie uda, nigdy się nie pozbieram”. Nie może tak siedzieć całe życie, udawać, że nic nie czuje, a potem dowiedzieć się, że ona jest z innym.

Zerwał się ze stolka barowego, rzucił kilka banknotów na bar, i nagle wiedział dokładnie, co powinien zrobić.

Przecież i tak już przekroczył tę magiczną linię. Kochał Lilah. Jediną gorszą rzeczą, niż jej utrata, byłaby świadomość, że nie skorzystał z szansy na szczęście. Wiedział na pewno, że jeżeli teraz nie uda mu się wszystkiego naprawić, będzie żył z taką wyrwą w sercu, jakiej chciał uniknąć.

Wieczór był cudowny. Szkoda, że prawie tego nie zauważała. Skulona na leżance obok basenu, Lilah nie zwracała uwagi na niebo, usiane błyszczącymi diamentkami. Myślała tylko o Dominicu.

Gdyby była osobą bardziej zdyscyplinowaną, byłaby już w basenie, tak jak planowała, i próbowałaby uspokoić się intensywnym pływaniem, ciszą wody i równomiernym rytmem nawrotów od jednego końca basenu do drugiego. Nie rozpamiętywałaby tej rozmowy między nimi i nie zastanawiałaby się, czy dobrze zrobiła, wyznając mu miłość.

Kochała go i nie miała zamiaru powtórzyć błędu sprzed lat. Nie będzie się przejmować urażoną dumą i rozmyślać następne dziesięć lat, czy mogła coś zrobić. Zapomni o przykrych słowach i jego braku wiary w powodzenie ich związku.

Jednak pójdzie popływać, aż do takiego zmęczenia, że nie będzie mogła myśleć. Może potem uda jej się zasnąć, a rano, gdy wstanie słońce, będzie wiedziała, co robić.

Wstała, rozwiązała sarong, wyprostowała się i obróciła. Jej serce zaczęło łomotać. Niecałe trzy metry od niej stał Dominic, oparty o żelazny, kuty stoliczek na patio. Jego biała koszula w świetle księżyca wydawała się niemal niebieska. Twarz miał w cieniu i trudno było wyczytać z niej cokolwiek. Ich spojrzenia spotkały się na najdłuższą chwilę w jej życiu. Chciała rzucić się w jego ramiona i wybuchnąć płaczem, ale uniosła głowę i spytała z godnością:

– Co ty tu robisz?

– Myślę o tym, jaka jesteś piękna i jakim ja jestem idiotą. I o tym, że musisz przestać mnie straszyć, bo dostanę ataku serca.

– Ja cię straszę? – Odniosła się do najmniej istotnego stwierdzenia, bo wydało jej się najbezpieczniejsze.

– Tak. Zostawiłaś drzwi otwarte na oścież. Kiedy nie mogłem cię znaleźć, pomyślałem, że może Condesta kogoś po ciebie wysłał.

– Aha. – Bała się odpowiedzi na następne pytanie, ale musiała je zadać. – I to byłoby niedobrze?

– To byłaby katastrofa – odpowiedział zdecydowanie. Oderwał się od stolika i pokonał dzielącą ich odległość trzema krokami. A ona nie drgnęła nawet, gdy był tak blisko, że czuła

jego ciepło, chociaż wiele ją to kosztowało. – Ponieważ – wyciągnął ręce i ujął jej twarz – kocham cię, Li. Myślę, że zawsze kochałem, a na pewno zawsze będę cię kochał. I nie zniosę myśli, że ktokolwiek miałby cię skrzywdzić, nawet ja. Zwłaszcza ja.

– Och, Dominicu... – Jedna z długo powstrzymywanych łez stoczyła się po jej policzku.

– O Boże, księżniczko, proszę, nie płacz. – Otarł łzę swoim kciukiem. – Przepraszam za to wszystko, co powiedziałem. Nie myślałem tak. Po prostu trochę to trwało, zanim moja głowa nadażyła za sercem. Powiedz, że za mnie wyjdiesz, a przez resztę życia będę się starał wynagrodzić ci to.

– Chcesz się ze mną ożenić? – Patrzyła na niego, zdumiona i nie mogła uwierzyć.

– Koniecznie. Byłaś dla mnie jedyną kobietą, odkąd cię zobaczyłem. Tylko zajęło mi to trochę czasu, żeby zrozumieć. Teraz cię nie puszcę. Oczywiście, jeżeli mnie jeszcze chcesz.

– Tak. Tak. – Uśmiechnęła się przez łzy i rzuciła w jego ramiona.

– Nie mogę uwierzyć, że prawie pozwoliłem ci odejść. Nachylił głowę i pocałował ją i wszystko w jej świecie znalazło się na swoim miejscu.

EPILOG

Denver, Colorado Trzy tygodnie później

Potężne łuki katedry w Denver unosiły się wysoko nad głową Lilah. Morze białych kwiatów – lilii, groszku pachnącego, hiacyntów i róż – spływały z niekończących się rzędów ławek, dochodzących do ołtarza. Tam, wzdłuż szerokich stopni, umieszczono jeszcze więcej cudownie pachnących kwiatów, a śnieżnobiałe świece połyskiwały w lekkim półmroku olbrzymiego kościoła.

– Denerwujesz się, kochanie? – spytała babcia, nachylając się nad nią, gdy czekały w przedsionku kościoła.

– Nie – odpowiedziała natychmiast, wpatrzona w Dominica, który stał, wydawało jej się o kilometr od niej, w otoczeniu wysokich, ciemnowłosych braci, w garniturach od Armaniego.
– Całe moje życie czekałam, żeby zostać żoną Dominica.

– No wiesz, Delilah. – Ton babci oddawał jej opinię. – Wróciłaś z San Timoteo trzy tygodnie temu i skoro od razu wprowadziłaś się do tego swojego pana Steele’a, to chyba z niczym tak specjalnie nie czekaliście.

– Tak, babciu – uśmiech nie schodził z twarzy Lilah. Podobało jej się określenie „twój pan Steele”.

A co do reszty, przyznali się do dawnej znajomości, ale uznali, że szczegóły to nie interes Abigail. Oni znali prawdę i tylko to się liczyło.

– Musisz przyznać, że niewiele osób zorganizowałyby coś takiego w niecały miesiąc – pochwaliła się babcia.

– Na pewno nie. – Lilah uścisnęła jej rękę. – Jesteś cudowna.

Lilah ostrzegła Dominica, że babcia rzuci się łapczywie na możliwość organizowania takiej imprezy jak na smakowity kąsek i chociaż jej samej zupełnie na tym nie zależało, pozwoliła babci na wszystkie kwiaty i tłumy ludzi. Wiedziała, że mimo pozorów, babcia była ciepłą i kochającą osobą, no i jej jedyną krewną.

– Tak, jestem wspaniała – zgodziła się i zamilkła na chwilę. – Ale ty też. Jestem z ciebie bardzo dumna, wiesz o tym, Delilah?

– Tak, babciu.

– I że zawsze chciałam dla ciebie jak najlepiej. – Tak.

– Jesteś pewna, że to najlepszy mężczyzna dla ciebie?

– Absolutnie tak! – Uśmiechnęła się do Dominica, który zaczynał trochę się niecierpliwić.

– Więc masz moje błogosławieństwo. O Boże! – Abigail zeszywniała, patrząc na dużego mężczyznę, który właśnie dołączył do imponującej grupy Steele’ów. Miał taki sam świetnie skrojony garnitur jak reszta braci, ale wciąż wyglądał, jakby najlepiej się czuł ubrany w moro, pomazany na twarzy i uzbrojony po zęby. – Kto to jest? – dopytywała się babcia. – I co on tu robi? Na moim ślubie?

– To jeszcze jeden brat Dominica – tłumaczyła Lilah, rozumiejąc reakcję starszej pani. –

Poznałam go wczoraj wieczorem.

Stała sobie w słabo oświetlonej kuchni Dominica, z kubkiem herbaty, ubrana tylko w bieliznę i jego stary tiszert. Nagle zobaczyła stojącego kilka metrów od niej nieznanego.

Postanowiła nie krzyknąć, bo gdyby istniało jakieś niebezpieczeństwo, z pewnością Dominic byłby tutaj, a nie pod prysznicem. Poza tym, uderzyło ją rodzinne podobieństwo do braci, którzy zapowiadali, że drugi z kolei jest na bardzo skomplikowanej akcji, ale na pewno się pojawi. I pojawił się. Odstawiła kubek i wyciągnęła rękę.

– Jestem Lilah, a ty musisz być Taggart.

– Dom mi mówił, że będziesz mi przypominała królową z bajki, tylko odważną – powiedział cicho i z namysłem. – I miał rację. Witaj w rodzinie, siostrzyczko. – Uścisnął ostrożnie jej rękę. – Gdybyś miała z nim kłopoty, powiedz, to zrobię z nim porządek.

Teraz przyglądała mu się babcia i komentowała dalej.

– Muszę powiedzieć, że nie wygląda na zupełnie cywilizowanego, ale żaden z nich nie wygląda. Chociaż muszę przyznać – babcia nieoczekiwanie westchnęła – że gdybym miała pięćdziesiąt lat mniej, wziąłabym któregoś.

– Babciu! – Z trudem powstrzymała chichot.

– Musisz trochę wyluzować – poradziła starsza pani z błyskiem w oku. – Zrozum, że gdybym nie doceniała przystojnych mężczyzn, to nie wychodziłabym za mąż pięć razy.

Lilah nie zdążyła nic odpowiedzieć, bo dostała sygnał, że nareszcie czas rozpocząć ceremonię.

– No, dobrze. Głowa do góry, ramiona prosto.

Trzymając babcie pod ramię, weszła do środka kościoła. Dom nie mógł się napatrzeć, gdy zbliżała się – do niego, w atlasowo-koronkowej sukni, z jasnymi włosami i doskonałą cerą. Podeszła do niego, dotknęła jego ręki, a on, nie zważając na to, że może wywołać skandal wobec wyższych sfer z Denver, pocałował ją w porcelanowy policzek.

– W porządku? – spytał szeptem.

– Doskonale. A ty? Nie rozmyśliłeś się?

– Nie. – Pokręcił głową. – Zaufaj mi, księżniczko. Przez całe życie nie byłem niczego bardziej pewny.

Przyciągnął ją bliżej i poprowadził do ołtarza.